Nr. 33 (1077). Warszawa, dnia 4 (17) Sierpnia 1901 r. **Rok XXI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

CRISPI.

Po dwutygodniowem konaniu zmarł „Bismarck włoski“ dnia 11 b. m. w Neapolu. Żył długo, aż 82 lata. Był szczęśliwym: urodzony Sycylijczykiem, umierał Włochem. Marzenie jego młodości urzeczywistniło się, a było piękne i wielkie: Włochy wyzwolone z pod Austryaków, z pod drobnych książątek, z pod niedorzecznych, gorszących a srogich rządów neapolitańskiego Bomby, zrosłe w jeden organizm narodowo-polityczny, podniesione do światła i dobrobytu, wyprażone w ogniu idei demokratycznych; Włochy umiejące czytać, pisać, patrzeć i myśleć; Włochy odziane, umyte, pracujące, niegłodne -- nazewnątrz szanowane, wewnątrz zdrowe, oświecone, zamożne i silne — marzenie ze wspólnego zdroju, anielstwa ludzkiego w owej epoce między 1830 a 1860 r., która dla ciągłości ducha zbiorowego w Europie więcej uczyniła, niż zdziałał systemat pentarchii dla utrwalenia równowagi politycznej, na kongresie wiedeńskim jakoby na długie lata zapewnionej.

Było w nim dwóch ludzi: nie jeden w drugim, jak zwykle, ale jeden na drugim. Marzyciel spiskowiec i wygnaniec z roku 1848, współpracownik Mazziniego, towarzysz Bertaniego, Bixia i Garibaldiego, uczestnik i nawet współtwórca dzielnej wyprawy Tysiąca pod Marsalę, minister, publicysta i polityk czynny podczas wytwarzania się państwa włoskiego — to jeden; mąż stanu państwa już wytworzonego — to drugi.

W Crispim mąż stanu, człowiek późniejszy, nie oparł się na marzycielu i bojowniku lat młodych — aby z młodości i snów jej i znojów i bojów i samych nawet rozczarowań, mieć granitowy fundament, niepozwalający życiu późniejszemu zagrzęznąć w najstraszniejszej nędzy świata: w pospolitości i szarzyznie — nie, on marzyciela i bojownika przytłoczył, aż go w sobie, niezupełnie jednak, umorzył. Wszystkie promienie świetlane pogasły, świecił przecież jeden: Crispi Włochem być nie przestał. Ta patryotyczność jego dążeń, zmonopolizowana na rzecz jednolitego, na wewnątrz i na zewnątrz silnego państwa włoskiego, wytworzyła w nim ten idealny interes, który w początku przynajmniej nowej drogi był dla niego i rozpędową siłą i przyczynowem usprawiedliwieniem. Kiedy w r. 1865 w wyznaniu wiary, nazwanem *Republica e monarchia*, wyrzekał się swej przeszłości jako demokrata, sięgał po przyszłość narodową jako Włoch. Później dopiero na tym idealizmie zaszczepił pozytywizm interesu osobistego, żądzę znaczenia i stanowiska, pragnienie władzy dla władzy, dążenie do materyalnej pomyślności — aż w nim drugi ów człowiek pierwszego zupełnie przytłoczył i zmiażdżył. Nietylko z programatu młodości, ale z programatu wieku dojrzałego nic zostało nic, prawie nic. Przyszłość znikła z przed oczu, została wiecznie głodna chwila dzisiejsza, o nowy wciąż żer wołająca i coraz nowe wytwarzająca w sobie głody. Takiem dziecięciem chwili było i przymierze potrójne w Europie i Erytreja w Afryce.

W przymierzu złożył Crispi swe nadzieje, swą dumę, swą pewność, że Włochy, raz wszedłszy w systemat międzynarodowy, w którym Niemcy mają górę, nie przestaną już być wielkiem mocarstwem. Erytreja—obudziła w nim ambicyę, wspierającą jeszcze owe nadzieje, dumę i pewność, które stamtąd płynęły. Oba zakresy życia, oba zadania umysłu politycznego Crispi po poprzednikach swoich objął, ale jedno z nich tylko następcom swoim przekazał: o Erytreję się rozbił, rozbiły się i same Włochy. Klęska pod Abba Garyma (d. 1 marca 1896 r.) przyćmiła odrazu urok wielkości. To samo stałoby się z wielkością polityczną w Europie, gdyby np. Bismarck lub jego następca zechciał był tylko przymilić się do Rosyi, przez rozluźnienie traktatu berlińskiego. Całe to potrójne przymierze było tylko uzupełnieniem traktatu, który Niemcom sam przez się i przez rozporządzenia swoje nadał panujące nad Europą po za obrębem Rosyi stanowisko. Włochy nic na niem nie zyskiwały, prócz nieprzyjaźni z Francyą i pełzającej nadziei, że kiedyś silniejszy sprzymierzeniec dopomoże im zmódz słabszego, jak dopomógł już w r. 1866. Wobec marności pożytków — ogromne ofiary, wydobywane z narodu i wrzucane w paszczę potwora mocarstwowości, były i są ciężką dla narodu krzywdą: nie pozwalają mu się rozwinąć, wysysają ze społeczeństwa, nie zasoby, nie środki, ale siły już same, soki żywotne. Pod wspaniałością pancerników, fortec i portów wojennych, niezliczonych baterej, półmilionowego wojska — i całego przepychu militarnego dysze blada anemia społeczna — podwójna: polityczna i społeczna. Wielkość na zewnątrz jest sztuczną, zbudowaną, nie wyrosłą; niemoc wewnątrz — organiczną, jestestwo narodowe nurtującą. Mocarstwo zjada społeczeństwo, zjada naród. Całe życie wewnętrzne jako zagadnienie dla prawodawcy leży odłogiem. Włochy po dawnemu biedne są, nieumyte, odarte i głodne, naród nie narasta z ludu— jak marzyła demokracya, a w niej sam Crispi, między r. 1840 a 1860. Tego wszyst-

kiego Crispi nie widział, widzieć nie chciał i, wyrzekłszy się swej przeszłości raz, widzieć już nie mógł. Dziejowa jego wina większą jest od całej wielkości Włoch dzisiejszych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

W Zakopanem odbył się w tych dniach wiec, poświęcony sprawie czechizacyi na Śląsku Cieszyńskim. Jest to pierwszy wypadek w Galicyi, kiedy wypowiedziano otwarcie, że nie Niemcy, tylko Czesi są najzawziętszymi i najniebezpieczniejszymi wrogami żywiołu polskiego na Śląsku austryackim. Wiec zwołano z inicyatywy stowarzyszenia „Jedność“ i redakcyi *Głosu ludu śląskiego*, pisemka nader energicznie broniącego interesów polskości wobec Czechów. Zgromadzona ze wszystkich stron publiczność polska w Zakopanem zapewne nie bez wielkiego zdziwienia dowiedziała się o sprawach, dotychczas tendencyjnie ukrywanych przez całą prawie prasę *).

Prasa galicyjska, wysługująca się Kołu polskiemu, uważa „wzajemność“ czesko-polską za dogmat niewzruszony: to też wszystko, coby tę „wzajemność“ mogło zamącić, pomija się w niej milczeniem. Wchodzą tu w grę dwa czynniki: Konserwatystów nie nie obchodzą sprawy Śląska, gdzie tylko lud — robotnicy i chłopi — jest polskim, obchodzi ich natomiast bardzo harmonijne pożycie w parlamencie z reprezentacyą czeską. Demokraci znowu wciąż jeszcze roztkliwiają się nad Czechami, jako „uciskanymi“ pobratymcami i wmawiają w siebie poczucie konieczności „trzymania się razem“ wobec wspólnego wroga. Egoizm konserwatystów w połączeniu z naiwnym idealizmem demokratów stworzył tę atmosferę sympatyj polsko-czeskich, która każe Galicyanom zapominać, że interesy narodowe Polaków i Czechów — tak w polityce wewnętrznej, jak i zewnętrznej— są najzupełniej sprzeczne.

Niejednemu z naszych czytelników wyda się to ostatnie zdanie paradoksalnem, tymczasem przy bliższem rozpatrzeniu tej sprawy, nieco powikłanej i zamglonej utartą frazeologią, pokaże się, że tak nie jest. Weźmy następujący przykład konkretny. Czesi dążą do urzeczywistnienia hasła, przekształcenia czy raczej restytucyi prawa państwowego Czech, co oznacza między innem wcielenie polskiej części Śląska do przyszłego Królestwa czeskiego. Czyż znajdzie się dziś kto po za konserwatystami polskimi, ktoby dobrowolnie przystał na oddanie 300,000 ludu polskiego na pastwę czechizacyi? Przyłączenie Śląska Cieszyńskiego do Galicyi (naturalnie odpowiednio zdemokratyzowanego) oto jedyne hasło w stosunku do sprawy śląskiej, na które zgodzą się wszyscy politycy demokratycznie usposobieni. Hasło to jednak pozostaje w jaskrawej sprzeczności z dążnościami Czechów do restytucyi praw państwowych korony Św. Wacława. Ale, gdybyśmy pominęli ten szkopuł, gdybyśmy przekonali kiedyś Czechów, że nigdy nie przystaniemy ani na narodowościową, ani na polityczną czechizacyę Cieszyńskiego, co oznaczałaby dla Polaków restytucya czeskiego prawa państwowego? —Usunięcie z parlamentu wiedeńskiego najsilniejszego po Polakach klubu słowiańskiego, a więc wzmocnienie przewagi niemieckiej w Wiedniu i w całem życiu politycznem Austryi. Toż samo znaczenie posiada dla Czechów usamodzielnienie Galicyi, włączone niedawno do programu polskiego stronnictwa ludowego. Wyodrębnienie Galicyi oddałoby Czechów w parlamencie austryackim na pastwę większości niemieckiej. Na razie hasło wyodrębnienia Galicyi, jakkolwiek mówi się o niem i pisze dużo, nie posiada jeszcze żadnego praktycznego znaczenia, ale z czasem, kiedy zwolennicy tego programu znajdą się w parlamencie w znaczniejszym poczcie i zapragną przystąpić do praktycznego rozwiązania kwestyi, będą oni posiadali największych przeciwników w klubie czeskim; natomiast spotkają poparcie energiczne nie gdzieindziej, jak w kołach „wrogów Słowiańszczyzny,“ u schönererowców, którzy obecnie są gorącymi zwolennikami wyodrębnienia Galicyi, choć z innych pobudek, niż ludowcy polscy.

Jednem słowem, gdzie stąpić, wszędzie zachodzi sprzeczność interesów politycznych Czech i Galicyi. Ta sprzeczność odbija się najjaskrawiej w stosunkach śląskich. Na Śląsku Cieszyńskim wre bój zacięty pomiędzy Polakami a Czechami — bój, który, pomimo taktyki większej części prasy galicyjskiej, zaczyna budzić coraz głośniejsze echa wśród demokratycznie usposobionej części społeczeństwa polskiego.

Wydana przez towarzystwo „Jedność“ broszura informacyjna p. t. „Spór czesko-polski na Śląsku Cieszyńskim,“ podaje mnóstwo faktów, charakteryzujących wzajemne ścieranie się żywiołu polskiego i czeskiego. Wyjmujemy z niej garść ilustracyi do „wzajemności“ polsko-czeskiej.

Na Śląsku Cieszyńskim odbywają się właściwie dwa procesy: napływanie polskiej ludności robotniczej do kopalń i hut z Galicyi oraz wzrost świadomości narodowej u ludu polskiego, który dawniej dawał się czechizować bez żadnego oporu. Oba te procesy są jednakowo fatalne dla Czechów, którzy używają wszelkich środków, byle zatamować odczeszczanie się Śląska i zachować swój stan posiadania. Kościół, szkoła, stowarzyszenia różnego rodzaju, presya urzędników, wyrzucanie opornych z pracy — oto środki za których

*) Tu nadmieniamy, że *Prawda* podała w Nr. 41 i 42 r. z. charakterystykę „Zatarg polsko - czeski w Cieszynie“ pióra p. Leona Wasilewskiego.

LEGENDA O RÓŻOWYM KAMIENIU.

Starym już był Makantropos, a mądrość jego była wielką. Szukał jej od lat wielu i po długiem błądzeniu znalazł wreszcie u kapłanów. Wszak oni nauczyli go tajemnic budowy tych szarych gmachów, z których jeden, otoczony błękitnemi falami jeziora, sterczał w oddali; dali moc rządzenia głupim tłumem, a wzięli za to tylko straszną przysięgę i kwiat życia. Wszedł do przybytku ich wiedzy młodzieńcem, z pełną piersią uniesień i pragnień burzliwych; wyszedł zgarbionym starcem, z pooranem zmarszczkami czołem. Zgłębił całą prawie mądrość kapłańską, lecz tego, czego szukał—nie znalazł.

Szukał szczęścia. Ono zaś, jak dla igraszki, wpadło mu czasem w ręce; już je obejmował i chciał napoić niem spragnioną duszę, a obejmował tylko cień i pustkę. W takich chwilach brózdy na jego czole pogłębiły się i czarny smutek na niej osiadł.

I dziś posępne myśli obsiadły mózg Makantroposa, jak stado szakali padlinę na pustyni. Chata jego stała na samym prawie brzegu Nilu. Wszedł do wnętrza i znudzonym wzrokiem obrzucił stosy pożółkłych papyrusów, leżących na ziemi. Znał je prawie wszystkie: były to źródła, z których czerpał ożywcze krople w dni przygnębienia i łykał gorycz w dni pogody i wesela. Wziął więc z wierzchu jeden ze zwojów i, oparłszy głowę na dłoniach, odczytywał tajemnicze znaki.

Była to „Legenda o różowym kamieniu.“

. . . .

Wstał wiosenny, pełen woni poranek. Prastary Nil, odziany przejrzystą zasłoną mgieł, toczył swe fale powoli, sennie, jakby nie zupełnie jeszcze obudzony ze snu letniej nocy.

Powoli, majestatycznie, Ozyrys ukazywał swą promienną postać nad horyzontem. Na ranek, jak zwykle, okrył się purpurą, a blask jej dnia tego zdwojoną jaśniał siłą. Ozyrys radował się: dziś uwieńczył dzieło swego tworzenia kwiatem najwspanialszym, dziś stworzył „Ją.“

Oto zatopiona powodzią światła Ozyrysa, płynie za nim w wonnej atmosferze. We włosach jej błyszczą krople porannej rosy, a w każdej z nich skrzą się kolory tęczy.

Ozyrys zatrzymał się na swej drodze i rzekł: „Teraz spłyń tam na dół i króluj nad Nilem“ Splótł swe promienie, utkał świetlany szlak, po którym „Ona“ lekką stopą zaczęła zstępować nad brzeg rzeki. Stanąwszy nad Nilem, wpatrzyła się w pomarszczoną wietrzykiem toń lazurową. Podpłynęła pierwsza fala, musnęła jej białe stopy i, odurzona tym pocałunkiem, sennie odpłynęła napowrót, podając odbicie uroczego zjawiska falom dalszym.

Drzemiący u brzegu krokodyl, wpatrzył się w nią żółtemi oczyma. Z pobliskich zarośli zaczęły się wysuwać różne czworonogie twory, śpieszące ugasić pragnienie i wszystkie oddały hołd córce Ozyrysa.

Nakoniec na falach Nilu ukazała się duża łódź, napełniona dwunogiemi zwierzętami—ludźmi. Ujrzeli blask na brzegu, ale „Jej“ jeszcze poznać nie mogli.

Lecz między nimi był jeden z synów pustyni, Amun. Ten orlim wzrokiem przebił otaczające „Ją“ morze światła i wydawszy okrzyk, w którym dźwięczała tęsknota i radość, rzucił się w fale i przez wiry płynął ku brzegowi. Towarzysze na łodzi śmieli się szydersko z szaleńca.

Wtem od pustyni dał się uczuć silny podmuch złego Seta; fale zaczęły się burzyć, wzdymać, a łódź silniej kołysać. Na skrzydłach wichru przyleciał tuman suchego piasku, rzuconego ręką Seta, przyleciał i zasypał oczy płynącym.

Potem rozhukana fala, podniosła młodzieńca na swym grzbiecie, pogrążyła w szalonym wirze i wyrzuciła na brzeg u stóp tęczowego zjawiska. Zdążył raz tylko otworzyć oczy, ujrzał jej twarz nachyloną nad sobą i —stracił przytomność.

Tymczasem wiatr się uciszył. Ozyrys zwyciężył Seta i z za czarnej chmury ukazał rozjaśnione oblicze. Tymczasem łódź podpłynęła do brzegu. Ludzie z niej wyskoczyli i skierowali swe kroki ku córce Ozyrysa, przecierając oczy, w których tkwiły ziarna piasku, rzucone ręką czarnego Seta. Piasek krwawił im źrenice, wdzierał się niemal do głębi mózgu, sprawiając ból okropny, który ich doprowadzał do szaleństwa. Otoczyli „Ją“ kołem i zawyli jak stado hyen lub szakali, gdy ujrzą samicę. Czworonogi, wystraszone wyciem, uciekły w stronę pustyni lub skryły się w nadbrzeżnych zaroślach. Ona zaś stała wśród gromady; pierś jej falowała szybko, a oczy, o barwie fal Nilowych, z niemem błaganiem zwróciły się ku górze. Twarz Ozyrysa powlokła się całunem czarnej chmury.

. . . .

pomocą garść inteligencyi czeskiej usiłuje pozbawić ludność polską jej narodowości. Te usiłowania potęgują się zwykle przy każdym spisie ludności. Broszura „Jedność“ zajmuje się właśnie wynikami spisów takich w r. 1880, 1890 i 1900.

Walka się toczy głównie o powiat Frysztacki, gdyż do innych powiatów Cieszyńskiego Czesi już nie mają pretensyi: ludność ich jest tak oczywiście polska, że niepodobieństwem jest w żaden sposób pozbawić jej tego charakteru. Co do powiatu Frysztackiego, to tu wpływ czeski był najsilniejszy i dotychczas np. w niektórych kościołach i szkołach gmin polskich panuje czeszczyzna, a analfabeci galicyjscy, którzy przybyli tu bez żadnego poczucia narodowościowego, ulegali i w części jeszcze obecnie ulegają powierzchownej czechizacyi. Przy spisie z r. 1880 przewaga czeska zaznaczyła się jeszcze w całej pełni, ale już w dziesięć lat później położenie zmieniło się znacznie. W gminie Szumbark w r. 1870 wykazano Polaków tylko 17, Czechów zaś 697; w r. 1890 znaleziono tam już tylko 3 Czechów, wówczas gdy do narodowości polskiej przyznało się 887 osób. W gminie Olbrachcice w r. 1880 nie wykazano ani jednego Polaka, tylko 1,029 Czechów. W dziesięć lat potem cała ludność uznała się za polską — Czesi znikli jak kamfora. Wypadków odwrotnych nie było wcale, tylko w gminie Orłowa liczba Polaków spadła z 2,237 na 984, podczas gdy Czesi z 424 podnieśli się do 2,199. Okazało się, że było to najpospolitsze oszustwo, ponieważ przy ostatnim spisie w tej gminie naliczono 3,922 Polaków, a Czechow tylko 2,233, pomimo że spis ten przeprowadzili urzędnicy czescy.

Już na kilka miesięcy przed spisem ostatnim Czesi rozwinęli bardzo silną agitacyę w całem terytoryum spornem, urządzając zgromadzenia, na których pouczano lud o ważności spisu jednodniowego, przekonywano go, że jest ludem czeskim, rozdawano broszurki w tym duchu pisane w olbrzymiej liczbie egzemplarzy itd.

Polacy, nie posiadając ani środków naturalnych, ani dostatecznej liczby agitatorów, poprzestali na wydrukowaniu w *Głosie ludu śląskiego* odpowiedniej odezwy, którą odbito oddzielnie w 10,000 egzemplarzy i rozpowszechniono po wszystkich gminach powiatu Frysztackiego, a częściowo także i w powiatach Cieszyńskim i Bielskim oraz w Morawskiej Ostrawie i gminach sąsiednich*). Odezwa ta zrobiła swoje. Gdzie tylko umiano czytać po polsku, została zrozumiana należycie i odniosła pożądany skutek. Nie poruszyła tylko analfabetów galicyjskich, od kilku lat przybywających coraz liczniej na Śląsk, którzy prawie w całej swej masie stali się pastwą zależności od inżenierów Czechów i z małymi wyjątkami zostali wciągnięci do spisu jako Czesi.

Udowodnił to faktami *Głos ludu śląskiego*, mianowicie w gminach Radwanice i Hermanice przeprowadził na własną rękę badania, odkrył nadużycia i zaskarżył Czechów do władz. Nadużycia te stały się nawet przedmiotem osobistej interpelacyi w parlamencie, wniesionej przez posła Cingra (Czecha, socyalnego demokratę). Wskutek tego kroku przeprowadzono w powyższych gminach kontrolę spisu — i okazało się, iż jako „Czesi“ figurowali analfabeci galicyjscy, umiejący zaledwie po kilka słów czeskich i przebywający na Śląsku dopiero od roku i mniej.

Naturalnie, nie wszędzie przeprowadzono taką akcyę. Mnóstwa nadużyć nie wyśledzono. Nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby spis był przeprowadzony sprawiedliwie, toby się okazało, że powiat Frysztacki posiada przygniatającą przewagę ludności polskiej, co z każdym rokiem staje się bardziej widocznem.

Widzimy to z następujących przykładów: w Muglinowie ludność polska w ciągu lat dziesięciu ze 149 zwiększyła się do 923, czeska zaś z 573 spadła na 464. W Gruszowie przed 20 laty było Polaków zaledwie 98, gdy Czechów liczono 658. Dziś Polaków jest tam 1,547, Czechów zaś tylko 1,050. W Małych Kończycach pod Morawską Ostrawą przed 20 laty naliczono tylko dwóch Polaków, obecnie mamy 2,159; Czesi spadli z 994 na 918. W Michałkowicach liczba Polaków wzrosła przeszło dziesięćkrotnie, Czesi zaledwie się podwoili. W gminach Dąbrowa, Łazy i Dziećmorowice wszystko się zmieniło zasadniczo. W Dąbrowie przed 20 laty było Polaków dziesięć razy mniej, niż Czechów. Dzięki nienormalnym stosunkom i tysiącom ubogich analfabetów galicyjskich takie Hermanice, Radwanice, Polska Ostrawa uważane są jeszcze za gminy czeskie. Dzięki kościołowi katolickiemu, pielęgnuje się jeszcze czeszczyznę w Suchej Dolnej i Średniej, chociaż i tam już większości są polskie.

W jaki sposób otrzymuje się większości czeskie w gminach polskich, pokazuje przykład Polskiej Ostrawy. Naliczono tam 2,115 Polaków, 690 Niemców i 15,714 Czechów. *Głos ludu śląskiego* podjął się sprawdzenia tych cyfr i przekonano się, że na 255 rodzin polskich, przezeń sprawdzonych, komisarze Czesi zaliczyli do narodowości polskiej zaledwie 40 osób!

Głos ludu śląskiego pisał, rozważając rezultat spisu ludności w powiecie Frysztackim: „Może jeszcze za kilka lat będziemy w stanie stwierdzić urzędowo, że powiat Frysztacki jest wyłącznie polskim, że dla kilku tysięcy rzeczywistych Niemców i rzeczywistych Czechów, jacy tutaj przebywają, jest gwałtem bezecnym wymagać od stu tysięcy ludu polskiego, aby się germanizował lub czeszczył po szkołach i kościołach, aby po urzędach, sądach, fabrykach, kopalniach i gospodarstwach łamał sam mowę dla widzimisię panów urzędników.“ Ale, ażeby dojść do stwierdzenia tego faktu, trzeba będzie przebyć drogę ciężkiej walki — przedewszystkiem z Czechami.

Rozumieją oni bardzo dobrze, że rychło nastąpi kres ostateczny ich panowania w Cieszyńskiem, to też na punkcie walki

*) Na Morawach, w obrębie kraju, bezpośrednio graniczącego ze Śląskiem, mieszka około 30,000 Polaków.

Jeden z gromady rzucił się ku niej i objął ją zwierzęcym uściskiem. Wtedy stała się rzecz dziwna: córa Ozyrysa, tęczowe zjawisko, poczęła blednąć i rozwiała się w przestrzeni, a oniemiały tłum ujrzał przed sobą pustkę.

. . . .

Strasznym był gniew Ozyrysa: wszystkie żywioły, wypuszczone na wolność, szalone wyprawiały orgie. Tłumy ludzkie, smagane deszczem, palone żarem, próżno wyjąc, błagały o litość. Nareszcie z lazurowego nieba zabrzmiał głos Ozyrysa: „Paloni nieugaszonem pragnieniem, w błędnem zamknięci kole, przez wieki szukać będziecie pierwowzoru tej, którąście zbezcześcili!“ I wnet otwarły się podwoje gmachu, zwanego labiryntem, a tłumy weszły weń, aby błądzić i szukać iskry wśród ciemności.

Gdy cienie wieczorne kładły się na ziemi, a Ozyrys przed spoczynkiem kąpał się w falach Nilu, stanęła przed nim „Ona“ i drżąc, upadła na kolana. Lekki powiew wiatru rozrzucił jej złote włosy i igrał z nimi.

Gdy tak klęczała, spełnił się i na niej wyrok Ozyrysa: jeden z różowych jego promieni padł na nią i na tem miejscu, gdzie stała przed chwilą, został tylko mały, różowy kamyczek, potoczył się po spadzistym brzegu i wpadł w głębinę Nilu.

Zapanowała czarna, tajemnicza noc...

. . . .

Już poranna rosa zwilżyła spragnioną ziemię, gdy Amun otworzył oczy. Pierwsza jego myśl była o „Niej.“ Z nadnilowych oparów oderwane obloczki płynęły nad jego twarzą: w każdym z nich widział parę oczu, sięgających mu do głębi duszy. Odtąd nie miał spokoju i szukał „Jej“ wszędzie.

Aż dnia pewnego, błądząc, stanął nad brzegiem Nilu i wpatrzył się w jego grzbiet pogarbiony. Naraz drgnął, a twarz jego zapałała tysiącem uczuć. Oto, przebiwszy wzrokiem fale, na dnie rzeki ujrzał „Jej“ kształty, zaklęte w różowym kamieniu. Wyciągnął ręce naprzód i runął w wir, a fale, cicho szemrząc, zasklepiły się nad nim.

. . . .

Z dna Nilu podniosły się różne potwory, wyciągając ślizkie, długie swe cielska i rozwierając zgłodniałe paszcze. Jedna hydra krwawooka chciała oplątać młodzieńca swymi splotami, lecz Amun, bliski celu, jedną ręką zdusił napastnika, a drugą, ująwszy różowy kamyk, przycisnął go do piersi i popłynął ku powierzchni. Wyskoczywszy na brzeg, przycisnął zimny kamień do ust i złożył na nim gorący, pełen czci pocałunek.

Pocałunek ten zwalczył gniew Ozyrysa: obok Amuna stanęła „Ona,“ taka, jaką widział w dzień stworzenia, a w ręku pozostał kamyk, cząstka różowego Ozyrysowego promienia. Z za chmury wyjrzała promieniejąca twarz Ozyrysa.

. . . .

Odtąd zawsze byli razem, a za nimi wszędzie szło szczęście. Potwory, wylęgłe z Nilu, nie śmiały przestąpić kręgu, jaki zataczał blask różowego kamienia i jej promiennych oczu: ich wściekłe wrzaski, wycia i straszne śmiechy do Amuna nie dochodziły wcale. Gdy czarna chmura zasnuła horyzont, „Ona“ była złotym promykiem słońca wśród tej chmury; a gdy zabłądzili na pustynię, Amun, patrząc przez różowy kamień, widział chłodną oazę, pełną cienia palmowych drzew, których stopy zdrój srebrny omywał.

. . . .

Makantropos odczytał ostatni znaczek legendy. Przy końcu znalazł dopisek nieznanego autora: „Wielki Ozyrysie! Jeśli „Ona“ zniknie, czy zostawisz Amunowi choć kamień różowy?“

. . . .

Schował stary Makantropos legendę za fałdy płaszcza i wyszedł przed swą chatę, na brzeg prastarej rzeki. Czoło, na którem bruzdy znów się pogłębiły, zwracał to ku niebu, to ku ziemi, jakby szukając śladów różowego kamienia.

I tak, z myślą o szczęściu, poszedł drogą wieków — w nieskończoność.

. . . .

Widziano go potem, jak w czasach Peryklesa, z dłutem Fidyasza przebiegał ulice Aten...

Widziano go potem, jak w czarnym habicie zamykał się w celi klasztornej i pogrążał w modlitwie...

Widzieć go można i teraz. Lecz zawsze wzrok jego niespokojnie wybiega w przestrzeń, szukając szczęśliwej pary i różowego kamienia...

St. Krauz.

z Polakami wszystkie partye czeskie (z wyjątkiem socyalistycznej) są najzupełniej solidarne. Od *Narodnich listów* aż do ich antypoda — *Czasu*, prof. Masaryka, wszystkie pisma czeskie i niemieckie śledzą rozwój żywiołu polskiego na Śląsku i obmyślają coraz to nowe środki dla jego zatamowania.

Więc zakopiański może mieć bardzo doniosłe znaczenie, jeśli skieruje uwagę społeczeństwa polskiego na walkę w Cieszyńskiem. Przyczyni się on do pozbycia się szkodliwych złudzeń i do wyjaśnienia sprawy, tendencyjnie usuwanej dotychczas z porządku dziennego.

Daleki.

SYLWETKI SPOŁECZNE.

Tomasz Teodor Heine.

Gdy przed trzema laty obchodzono setną rocznicę urodzin Henryka Heinego, humorystyczne pismo zamieściło pięknie wykonany rysunek, przedstawiający, jak bożek wodny Egir, wypędza ze swego państwa zakochaną rusałkę Loreley, bohaterkę najpopularniejszej pieśni Henryka Heinego. Pod rysunkiem były słowa: „Tomasz Teodor kochanemu Henrykowi.“

To traktowanie za pana brata wielkiego poety nikogo nie zdziwiło; nie ulega bowiem wątpliwości, iż karykaturzystę T. T. Heinego można nazwać największym satyrykiem, jakiego miały Niemcy od czasów autora „Księgi pieśni.“ Żaden ze współczesnych Niemców nie wywija tak zamaszyście, zręcznie i nieubłaganie chłostą sarkazmu, jak Tomasz Teodor, który nie omija żadnej sposobności, aby wystawić pod pręgierz i uwiecznić w swych wysoce artystycznych rysunkach współczesne życie społeczne. Jeśli T. T. Heine cieszy się wielkiem powodzeniem w Paryżu, jeśli w niedawno sporządzonej przez redakcyę ankiecie międzynarodowej został obwołany za największego mistrza karykatury i satyry, świadczy to, iż świst jego chłosty słychać nawet po za kordonem Niemiec. Ba! Nawet rząd niemiecki żywi w głębi duszy cześć dla jego talentu, albowiem jest faktem wiadomym, iż nieboszczyk kanclerz Hohenlohe urządzał dla swych przyjaciół „herbatki“ dla studyowania rzeczy Heinowskich. Ten szacunek dla zjadliwych i tętniących szczerym artyzmem produkcyj nie przeszkodził, co prawda, ministrom niemieckim ulokować ich autora na dziewięć miesięcy w więzieniu za to, że nie potrafił trzymać języka za zębami. Czy słusznie — nie wiem, gdyż w gruncie rzeczy można poczytywać Heinemu za największy grzech cyniczne niedbalstwo, z jakiem popełnia anachronizmy i błędy historyczne.

Heine, jakeśmy rzekli, poszedł do więzienia, co mu nastręczyło sposobność do kilku bardzo złośliwych rysunków. Udając się za kraty więzienne, poinformował na pożegnanie publiczność, w jaki sposób będzie tworzył w swej nowej siedzibie. Młodociany, golowąsy Tomasz Teodor stoi w środku pokoju pochylony nad rysowanym przez siebie kotem; ramieniem jego kieruje prokurator, a wokoło śledzą jego ruchy Schutzmannowie sascy z pałaszami w ręku. Gdy opuścił swe więzienie, podzielił się z ogółem wspomnieniami, jakie stamtąd wyniósł. Tak np. opowiedział przed dwoma tygodniami, jakich metod pedagogicznych używała władza nadzorcza, aby wykierować go na porządnego człowieka. Widzimy tedy na rysunku, jak Heine myje własnoręcznie na rozkaz władzy waterklozet swej celi, podczas gdy dozorca wygłasza mowę o znaczeniu tej procedury. Od czasu więzienia jakoś Schutzmann i sędzia stali się jego ulubionemi figurami, na których ostrzy sobie niemiłosiernie język z całą finezyą swego talentu. Oto dwa przykłady. W cudownym rysunku, wykonanym w stylu *rococo*, oglądamy Schutzmanna, jako pastorza grającego na fujarce, której słodkich dźwięków słuchają rozciągnięte wokoło owce z niebieskiemi wstążkami na szyjach. W drugim rysunku charakteryzuje on Niemcy współczesne. Jak wiemy, państwo to w ostatnich trzydziestu latach z kraju rolnego przeistoczyło się w przemysłowy. Obraz Heinego przedstawia zatem, jak daleko oko sięga, same fabryki o monotonii koszarowej, z niebotycznym lasem kominów, z których wzbijają się słupy dymu. Od czasu do czasu tylko widać kościół. Nad tym krajobrazem zawisła ciężka chmura, zasłaniająca niebo, a z za niej wyglądają dwaj faworyci Heinego: mąż w todze sądowej i Schutzmann z wytrzeszczonemi oczyma.

Najczęściej jednak Heine korzysta z kwestyj bieżących, aby dorobić do nich swe komentarze. Przytoczymy tu kilka przykładów. Jak wiadomo, rząd nadesłał parlamentowi tabele ilustrujące stosunek liczebny marynarki angielskiej do niemieckiej. To też i u Heinego na jednej połowie szkicu znajdujemy stosunek ten schematycznie przedstawiony w postaci wielkiego i małego okrętu. Po prawej stronie zaś figuruje olbrzymia flaszka i mały okręt. U dołu radca handlowy z bokobrodami i potężnym brzuchem i głupi Michałek w rozdartych spodniach i szlafmycce. Prowadzą taką oto rozmowę na temat statystyczny: Widzisz, kochany Michałku—mówi tuz przemysłowy — tuśmy tobie przedstawili schematyczny stosunek flotyli angielskiej do naszej. — A tu, kochany radco handlowy — odpowiada Michałek—możesz zobaczyć, ile zwolennicy marynarki wydają rocznie na szampana, a jak mało na flotylę.

Syndykaty niemieckie podniosły w zimie cenę węgli. Heine uczcił ten czyn społeczny dwa razy. Popierwsze oglądamy delegatów od zjednoczonych złodziei niemieckich, gdy składają wieniec u stóp swego przyszłego prezydenta — właściciela kopalń. Na drugim rysunku obracamy się w piekle. Dzieci, umierające setkami podczas ciężkiej i ostrej zimy, przybywszy do piekła, czują się wśród panującego tam ciepła tak rozkosznie, iż ściskają szyję „pana dyabła“ i błagają go, aby zabrał również matki ich, marznące na ziemi.

Gdy wyszły na jaw złotodajne stosunki bankiera Sternberga, miłośnika dziewcząt nieletnich, z policyą berlińską, Heine sparafrazował wypadek ten w formie alegorycznej. Na arenie cyrkowej stoi Sternberg, którego kolana ściskają małe dziewczynki i trzyma obręcz w ręku. Przez obręcz skacze w biegu jazdy konnej Schutzmann, podczas gdy jego kolega zbiera do pikelhauby złoto, sypiące się z pod ogona konia.

Heine potrafi być i patryotą. Opowiedział nam też w całym cyklu rysunków wielką epopeę Waldersego. Gdy Niemcy wysyłają do Chin nieśmiertelnego feldmarszałka, Heine rysuje „Waldersego w ogniu.“ Umieszczonego w środku wodza w pozie olimpijskiej, z buławą marszałkowską w ręku, otacza chmara fotografów z aparatami. Z Chin nadchodzą wiadomości o wielkich i zwycięzkich bitwach. Wieści te przejmują dumą serce karykaturzysty i wtedy to powstaje miły rysunek. U wrót nieba bojownicy niemieccy, polegli w bitwach. U ich pasów zawieszone czaszki zamordowanych Chińczyków. Chińczycy są poganami, a pogan wpuścić do nieba nie można. Waldersee sposobi się wreszcie do powrotu. Wtedy Heine daje próbkę robionych przygotowań. Wódz z wawrzynami na głowie siedzi na swym koniu, a sługa jego, maczając miecz Waldersego w czerwonej farbie, pyta generalissimusa, czy wygląda już dosyć krwawo.

Heine wogóle znakomicie charakteryzuje stosunki pruskie. Oto np. izba pruskiego nauczyciela wiejskiego. Bakałarz, żona i dziecko wyglądają jak szkielety. Żona trzyma w objęciach drugie, dopiero co zmarłe dziecko, a małżonek jej zawodzi gorzko na myśl, iż odtąd nie będą mogli śpiewać na cztery głosy „Deutschland, Deutschland über alles.“

Karykaturzysta zajmuje się, rzadziej zresztą, również sprawami innych narodów. Podczas walki o Dreyfusa przerobił słynną „Wyspę zmarłych“ (Toteninsel) Böcklina na wyspę Czarcią. Gdy Niemcy przed kilkoma tygodniami kokietowali Francuzów z okazyi wizyty zaproszonych generałów francuskich, Heine nie omieszkał uczcić ów fakt „epokowy“ w sposób należyty: Obiad galowy. Generał pruski z monoklem w oku zwraca się do gości francuskich z temi słowy: A gdyby znowu przyszło Francuzom i Niemcom stoczyć z sobą wojnę, to można ręczyć, iż rezultat jej byłby zadawalający dla obu narodów.“

Przedm.

FEJLETON.

Z CZASU.

Celnicy sztuki

Najrozumniejszy podatek nastręcza podczas egzekucyi nieprzewidziane starcia, gdyż ofiarnością odznacza się tylko cząstka społeczeństwa. Ta zdolność płatnicza w języku statystyki da się zapewne ująć w mniej więcej stałe cyfry, lecz nigdzie pogotowie podatkowe nie jest zjawiskiem powszechnem. Ogół zawsze woli kawałek mięsa na talerzu, niż kolej żelazną lub szkołę, której częstokroć zobaczyć nawet nie może, gdyż jest ona zbyt odległą od swych fundatorów.

Kto w nadziei wychowania społeczeństwa ogłasza konkurs na podatek najrozumniejszy, powinien być przygotowany na to, że w wielu nadesłanych kopertach znajdzie taki projekt: „po tyle a tyle od osoby, żeby każdy mógł za to dużo jeść i mało robić.“

Ta niedorzeczność ekonomiczna jest w przekonaniu ogółu rajem, z którego on został wypędzony z jarzmem pracy na karku. A jednak w tem, że ludzkość taki raj w swem sercu piastuje, jest wielki sens, jest reakcya zlanych potem skroni, omdlałych mięśni, przekrwionych mózgów. Raj zupełnie inny, poczęty w huku maszyn i sapaniu ciężko łapiących powietrze nozdrzy stworzyćby mogła ludzkość—próżnująca. Patrzyłaby ona w teatrach na skręcanie lin żelaznych, lub składanie lokomotyw, a zabawy dziecięce urządzałaby na wzór wojen dzisiejszych. Rzeczywistość przedstawia się inaczej: ręce, które przez dwanaście godzin tworzyły „wartości,“ pragną bezwładu i nie chce im się nawet sięgnąć do kieszeni po składkę publiczną, gdyż widzą w tej czynności zamach na swój odpoczynek. Oto jedna z przyczyn, dla których postać celnika zawsze była i będzie niemiłą.

Są i w innych dziedzinach życia społecznego celnicy, którzy daremnie kuszą się o powszechne zrozumienie i uznanie. Mam na myśli celników sztuki, którzy od czasu do czasu w hałaśliwy sposób nawołują nas do piękna. Tamci, podatkowi, mają na swoją obronę interesy materyalne, a praca ich poborcza odradza się w nowopo-

wstających instytucyach. Powiedziałem już, dlaczego nie wszyscy ich lubią i rozumieją. Ci, celnicy sztuki, nic nam nie dają, prócz krzyku. Wykraczają oni swą działalnością przeciwko wielkiemu sensowi sztuki: mają ochotę stworzyć raj powszechnej doskonałości słów, ruchów i czynów przy akompaniamencie ogólnie obowiązującej pieśni, chcą ze społeczeństwa zrobić chór wydelikaconych Petroniuszów. Celnika sztuki łatwo odróżnić od wieszcza natchnionego. Poeta pragnie sam, własnem słowem wytopić kruszec szlachetny z serc naszych, ufny, że mu się to uda bez czyjejkolwiek pomocy; tą pomocą natchnienie prorocze gardzi, gdyż jest ono najwyższą siłą, która wszystko zapomódz zdoła, nic zapożyczając się nigdzie. Celnik zaś wszystkiego żąda od otoczenia, kontroluje wystawy sklepowe, wgląda w naszą garderobę, krytykuje krawaty i chustki do nosa. To też, jeżeli obojętność tłumu dla proroków jest organiczną wadą ludzkości, jest ona cnotą w stosunku do celników. Łatwo można przewidzieć, co spotkałoby człowieka, któryby zaproponował wychodzącym z fabryki robotnikom lekcyę gimnastyki, lub wracającym z biura urzędnikom zbiorową deklamacyę „Ojca zadżumionych.“ Jedni, przegimnastykowani przy odlewach żelaznych, drudzy znużeni ciągłem odczytywaniem swoich i cudzych referatów, wydrwiliby ulicznego estetę. A jednak celnicy nasi zastępują drogę tłumowi, proponując piękne albumy, pstre obrazki lub zwrotki liryczne. Dziwią się potem, łamią nawet ręce, gdy tłum albumy poplami i podrze, a zamiast śpiewać, gwizdnie przez dwa palce.

Chcą od ogółu poprawności ruchów, i doboru słów mile brzmiących, zapominając, że człowiek współczesny pragnie wśród nieustających wizyt i grzecznych listów, rozprostować język po tylu kłamstwach, a całe ciało po „padaniu do nóg.“ Społeczeństwo zawsze i wszędzie jest ordynarniejsze od wymagań sztuki współczesnej: bardzo nieliczne ręce są przygotowane i mają czas na ruchy okrągło i słowa tchnące poezyą. Dlaczegóż celnikom sztuki przychodzą do głowy takie estetyczne podatki, jak afisze artystyczne, barwne wystawy sklepowe, sonety i oktawy ogłoszeń handlowych itd. Zdaje się, że celnicy owi nie są godni, ażeby sztuka weszła do ich przybytków i, że dość parę słów powiedzieć, żeby wybawić czytelnika z kłopotu co do ich posłannictwa. Ci kolporterzy „czystego piękna“ nie sztuce służą, lecz kapitalistycznie pojętej reklamie, gdyż prawdziwego posłannika sztuki nikt z farbami, lub piórem na ulicy nie spotka. Żeby owocność ich nawoływań wyświetlić, dodam, że niedawno wśród ogłoszeń *Kuryera warszawskiego* jakiś rymopis usłużny w ten sposób zareklamował czyjeś wyroby: „Kaśka na piec, Maciek za nią...“ (i pragnie tym razem wytłuc ją za to, że zażądała lornetki jednej z firm warszawskich).

Oto jak wyglądają próby wydobycia tonów lirycznych ze zziajanej piersi wielkiego przemysłu. Niedośpiewany temat ludowy brzmi w ogłoszeniu kupieckiem stokroć ordynarniej, niż w samej piosence, gdyż stracił swą szczerość i grunt właściwy. Pod ogłoszeniem znajduje się wzmianka: „będzie wierszyków więcej!“

Raduje się dusza celnika sztuki, gdy widzi takie powszechne pogotowie poetyckie za kontuarami. Oczekujmy rzeczy ciekawych: w torbach celników powiędną może najwspanialsze kwiaty poezyi na posłudze kapitału, a w feljetonach będzie się mówiło: nareszcie wszyscy śpiewamy i znamy się na sztuce.

Tadeusz Ulanowski.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWELE GARSZYNA.

W. Garszyn: *Nowele* („Czerwony kwiatek,“ „Attalea princeps,“ „Cztery dni,“ „Artyści,“ „Sygnał,“ „Tchórz,“ „Spotkanie“). Przekład J. Czekalskiego. Warszawa, nakład A. Heflicha. Rok 1901, str. 208.

Zmarły przedwcześnie przed trzynastu laty wskutek rozstroju umysłowego nowelista rosyjski, Wsiewołod Garszyn, należał, obok Korolenki, Czechowa, Gorkiego i innych, do tej kategoryi artystów słowa, dla których sztuka sama przez się nie stanowi celu życia i nie może zasłonić przed oczyma bezgranicznego morza nędz ludzkich. Obdarzony niewątpliwym talentem plastycznym i niepospolitą umiejętnością odtwarzania pewnych stanów duszy ludzkiej, artysta z krwi i kości, był on w równym przynajmniej stopniu człowiekiem wrażliwym zarówno na ogólne, napół uświadomione cierpienia milionów, jak i na wyrastający na podatnem podścielisku ból osobnych jednostek. Żyjąc tylko trzydzieści cztery lata, z których kilka ostatnich mroczyła ciężka choroba psychiczna, mógł zostawić po sobie zaledwie jakieś dziesięć utworów nowelistycznych. Nowele te jednak, w których, jak czytamy w przedmowie do polskiego przekładu, znacznej ich części: „z wielką siłą odbiła się głęboka rozterka duchowa, która stanowi najbardziej charakterystyczny rys pokolenia literackiego jego czasu i odróżnia go zarówno od poprzedników, jako też i od pokolenia najnowszego, niewiele dbającego o ideały i wytyczne zasady życiowe,“ zapewniły Garszynowi wybitne miejsce w szeregu nowszych pisarzy rosyjskich oraz cenniejszą może nad nie wdzięczną pamięć i miłość lepszej części blizkiego mu ogółu. Więc też wydany obecnie przekład na język polski siedmiu najwybitniejszych utworów sympatycznego pisarza, dokonany świeżo przez p. J. Czekalskiego, któremu już zawdzięczamy bardzo dobre tłomaczenie „Księgi puszczy“ Kiplinga, zasługuje ze wszech miar na wyróżnienie z powodzi fabrykowanych na prędce i bez wyboru, na użytek dzienników i różnych tanich bibliotek, wszelkiego rodzaju bezwartościowych nowości literackich, których takie mnóstwo otrzymujemy do przeżucia. Nowele Garszyna poznać warto i trzeba. Pozostawiają one w duszy wrażenie smutne, ale podniosłe i uszlachetniające.

Pogląd nowelisty na stosunek sztuki do życia, oraz artysty i publiczności do życia—zarysowuje się najwyraźniej w oryginalnym utworze p. t. „Artyści,“ dającym nam rodzaj kartek z dzienników dwóch młodych malarzy. Jeden tworzy wyłącznie wdzięczne i pokupne krajobrazy, umie w porę korzystać z protekcyi i, odznaczony złotym medalem, wyjeżdża kosztem Akademii na dalsze studya za granicę, aby po kilku latach powrócić do kraju i zdobyć tu sobie świetną karyerę, sławę i majątek. Drugi, Riabinin, obdarzony niewątpliwie większym daleko talentem, wrażliwy jest przedewszystkiem na nędzę warstw pracujących. Najwybitniejsze dzieło jego — to robotnik-głuszec, pracujący w okropnych warunkach w fabryce kotłów okrętowych. Artysta tak się przejmuje jego niedolą, że wpada w ciężką chorobę, w której wyobraźnię męczą straszne, gorączkowe widziadła: „Widzę dziwaczną, bezkształtną istotę, kurczącą się do ziemi od razów, które walą się na nią zewsząd. Cały tłum ją bije, czem się zdarzy, wszyscy moi znajomi z rozwścieczonemi twarzami tłuką młotami, drągami, kijami, pięściami tę istotę, której nie umiem nadać imienia. Wiem, że to wciąż ten sam.. Rzucam się naprzód, chcę zawołać: za co? przestańcie!—gdy wtem spostrzegam bladą, wykrzywioną, okropną twarz, okropną dlatego, że to twarz moja własna. Widzę, jak i ja sam, drugi *ja*, zamierzam się młotem, ażeby nim uderzyć zaciekle. Wtedy młot opada na moją własną czaszkę. Wszystko znikło. Czas jakiś czułem jeszcze mrok, ciszę, pustkę i bezruch, ale wkrótce i sam zniknąłem kędyś...“

Ów „Głuszec“ był ostatnim obrazem Riabinina. Wyszedłszy z ciężkiej choroby, ku ogólnemu zdziwieniu, rzucił malarstwo i wstąpił do seminaryum nauczycielskiego, aby zostać nauczycielem ludowym. Ale i na tem polu „nie powiodło mu się,“ nie wdając się w szczegóły, zaznacza dyskretnie autor.

Garszyn jest mistrzem w odtwarzaniu stanów chorobliwych. Otrzymawszy ranę w wojnie tureckiej, w której uczestniczył jako ochotnik, zamykany kilkakrotnie w szpitalu dla obłąkanych—miał on sposobność przestudyować na sobie samym różne objawy cierpienia. Ciekawem jest pod tym względem opowiadanie jego p. t. „Cztery dni,“ wspomnienia ciężko rannego żołnierza, pozostawionego przez cztery doby bez pomocy na opuszczonym już placu bitwy, w pobliżu psujących się trupów. Pozwala to autorowi również wypowiadać wiele głębokich myśli na temat wojny, do którego powraca jeszcze w innem opowiadaniu p. t. „Tchórz.“

Lecz prawdziwem arcydziełem wśród utworów Gorszyna, odtwarzających różne stany patalogiczne, jest jego „Czerwony kwiatek.“ Kto kiedykolwiek miał sposobność przyjrzeć się zblizka strasznym nieraz cierpieniom duchowym szaleńców, zamkniętych w przybytkach męczarni, zwanych domami dla obłąkanych; kto wsłuchał się uważniej w bezsensowe pozornie zdania, wypowiedziane przez tych nieszczęśliwych w chwilach chorobliwego podniecenia, ten z podziwieniem przyglądać się będzie ogromowi prawdy, zachowanej w szczegółach najdrobniejszych i oddanej z niezwykłą siłą w tem krótkiem stosunkowo opowiadaniu o ostatnich dniach życia waryata, który umarł z miłości dla cierpiącego ogółu. „Widział się w jakiemś zaczarowanem kole, mieszczącem w sobie całą moc ziemi, siebie zaś uważał w obłędzie wielkości za środek owego koła. Wszyscy jego koledzy szpitalni zgromadzili się tutaj w celu wykonania czynu, zarysowującego mu się mglisto, jak olbrzymie przedsięwzięcie, skierowane ku zgładzeniu złego na świecie. Na czem czyn ten ma polegać, nie wiedział, czuł się jednak dostatecznie silnym, ażeby go dokonać...“ Wkrótce zresztą całą uwagę chorego ześrodkowały na sobie dwa jaskrawe kwiaty czerwonego maku, rosnące w ogrodzie szpitalnym przez dziwne kojarzenie się myśli, wydały mu się wcieleniem wszystkiego złego ziemi. Wchłonęły one w siebie wszelką krew niewinnie przelaną, wszelką złość ludzką. Zerwanie tych kwiatów, pomimo wszelkich trudności i przeszkód ze strony służby szpitala, wydawało mu się owym czynem bohaterskim, którego był obowiązany dokonać dla ocalenia ludzkości i którego dokonał istotnie, wyczerpawszy w tej walce urojonej ze wszystkiem złem ziemi resztkę sił starganych i doprowadziwszy się przedwcześnie do grobu. „Rano znaleziono go nieżywego. Twarz miał spokojną i rozjaśnioną; wynędzniałe rysy o cienkich wargach i zamkniętych, zapadłych oczach wyrażały jakąś dumną radość. Kładąc go na nosze, probowano rozgiąć mu pięści i wyjąć kwiatek czerwony. Ale dłoń zesztywniała, zabrał więc trofeum swe do trumny.“

Symboliczny czy alegoryczny charakter ma inne opowiadanie („Attalea princeps") o pięknej palmie, której źle było w ciasnej i dusznej cieplarni i która postanowiła wyrość tak wysoko, aby konarami przebić w górze otwór i zdobyć sobie wolność lub zginąć. Dopięła istotnie celu, lecz to nie dało jej szczęścia. Dyrektor oranżeryi rozkazał ściąć drzewo. „Możnaby wprawdzie wybudować nad nią daszek osobny — powiedział—ale czy to starczy na długo? Wyrośnie znowu i wyłamie wszystko. Zresztą, toby kosztowało za drogo. Sciąć ją!"

Do najpiękniejszych nowel w tym zbiorze należy jeszcze „Sygnał," gdzie z ogromną prostotą odmalowane zostało poświęcenie się zwykłego dróżnika kolejowego, który, dla ocalenia pędzącego na niechybną zgubę pociągu pasażerskiego, nie zawahał się wytoczyć z własnych żył krwi, aby zaimprowizowaną przy jej pomocy chorągiewką czerwoną przestrzedz w ostatniej chwili kierowników pociągu. Czyn jego nietylko ocala życie i zdrowie setkom podróżnych, lecz budzi nawet skruchę w twardem sercu zbrodniarza, który chciał właśnie wywołać tę katastrofę. Gdy zacnego Siemiona opuściły już całkiem siły, gdy padał na ziemię, nie spełniwszy zadania, znalazł niespodziewanie wyręczyciela w mściwym swym koledze Wasylu, który omało nie stał się sprawcą nieszczęścia. „Mrok pokrył mu oczy, pustka ogarnęła duszę i upuścił chorągiew. Lecz nie upadł na ziemię sztandar krwawy: inna dłoń ujęła go i podniosła wysoko naprzeciw nadchodzącego pociągu. Maszynista dojrzał go, zamknął regulator, puścił kontraparę. Pociąg stanął. Ludzie powyskakiwali z wagonów, tłoczą się. Widzą człowieka, zbroczonego krwią, leżącego bez zmysłów, a przy nim stoi drugi z krwawym gałganem na pręcie. Wasyl potoczył oczyma dokoła, spuścił głowę. „Bierzcie mnie — mówi—i wiążcie. To ja odwaliłem szynę!"

Opowiadanie to przypomina szczegółami pewnymi znany niewątpliwie czytelnikom naszym „Pociąg" Gustawa Daniłowskiego, gdzie zresztą, obok większego artyzmu w opracowaniu, autor dla wypowiedzenia myśli zasadniczej posiłkuje się przejrzystym dość symbolem, którego tu szukać nie trzeba.

I wogóle pomiędzy Garszynem z jednej strony; a kilku polskimi nowelistami i powieściopisarzami ostatniej doby—nie trudno byłoby przeprowadzić pewną analogię i odnaleźć pewne pokrewieństwo duchowe, oparte na wspólnym gruncie ideowym.

Wł. Bukowiński.

LITERATURA ANGIELSKA.

W. Pater. *Imaginary Portraits.* — Sebastyan van Storck.

Była to scena zimowa, jakby obraz Adriana Van der Velde'a lub Izaaka Van Ostade'a. Cała delikatna poezya drzew bezlistnych z gałązkami, niby ze srebra, unosiła się nad wytwornymi łyżwiarzami, którzy krążyli po lodzie stawu zamarzłego. Najwytworniejszym pośród nich był Sebastyan van Storck. Lubił on tę porę roku za jej doskonałą obojętność i spokój. Ziemia wydawała się uśpioną w śnie nieruchomym, który odpowiadał charakterowi młodzieńca. Ciężkie lato, wysuszające łąki, obecnie martwe pod pokrywą lodu, nadawało im kolor gorący, żółto-czerwony, który go nużył i dusił. A jednak, pomimo upodobania do zimy, tej prawdziwie holenderskiej pory roku, Sebastyan nie był czystym Holendrem. Matka jego, pochodzenia hiszpańskiego i katolickiego, wniosła bogactwo barw i kształtów w świeżość i spokój fizyognomii flamandzkiej, którą otrzymał od ojca.

Sebastyan niedawno powrócił do domu ze studyów odbytych w mieście dalekiem, by wzmocnić, za radą mistrza, nadwątlone zdrowie. Uczony mąż podziwiał subtelną inteligencyę młodzieńca, nie chciał jej jednak nadwyrężać zbytniem i przedwczesnem znużeniem.

Śród tłumu tych, co spoglądali na ślizgających się, śledząc okiem zadowolonem ruchy Sebastyana, znajdowały się panie i panny na wydaniu. Arystokracya holenderska użyła wszystkich swych wdzięków, by się sharmonizować z atmosferą poranka zimowego; i, rys charakterystyczny czasu, całe grono malarzy było na placu, ze wszystkimi przyrządami, w oczekiwaniu dogodnych świateł i cieniów. Malarze tworzyli wówczas ciało nader ważne w społeczeństwie, co było skutkiem dobrobytu nareszcie zdobytego przez naród, po wielu żmudnych wysiłkach: uświadamiali mu oni genialną i zarazem delikatną prostotę tego kraju ukochanego, o który walczył tak mężnie i gotów był walczyć, gdyby trzeba było, przeciw wrogowi i przeciw morzu.

Holandya odpoczywała właśnie wówczas na laurach po długich zatargach z Hiszpanią. Na tym gruncie sztuka pysznie rozkwitła. Holendrzy zaczęli spostrzegać, jak malowniczym był ich kraj, z kanałami, z przestrzenią bezgraniczną łąk, szeroko rozpostartych i linią brzegów morskich misternie rzeźbionych. Malarze, jak pierwsi prawdziwi mistrze krajobrazu, pokazywali wszystkim, którzy chcieli widzieć, potęgę zabarwienia tej ziemi, tak wrzekomo smutnej. Głównie rozwijali zamiłowanie Holandyi starożytnej do życia wewnętrznego, domowego. Ich niezliczone sceny rodzajowo— rozmowy, muzyka, tańce — były, zaiste, równoznacznikami późniejszych powieści. Były to obrazy prawdziwego życia bez idealizacyi, ale z zachowaniem czaru głębokiego i doskonałego. Artyści, dając sami przykład prostoty i czystości w życiu rodzinnem, jak to wiedzą wszyscy studyujący ich historyę, obrali sobie za ideał ognisko domowe. Delikatna organizacya i ostra inteligencya Sebastyana zrobiłyby zeń prawdziwego znawcę sztuki, ale jego potrzeby umysłowe skierowywały go w inną stronę. Ani sceny rodzajowe, ani gorące piachy Wynantsa, ani resztki fantastyczne lasów starożytnych Hobbemy i Ruysdaela nie przykuwały go. Sebastyan lubił rozległość, chwytał sens rzeczy widzianych z oddalenia, które unoszą nas, jakby na skrzydłach, od otaczającego środowiska. Jego upodobanie szło zatem ku tym perspektywom olbrzymim, których sekret posiada Rubens, a bardziej jeszcze Filip Coninck, którego cztery obrazy zdobiły komnaty Sebestyana: wyloty wizyonera w kraje rozległe, jakkolwiek trochę pochmurne. Były to jedyne ozdoby jego mieszkania. Tu Sebastyan oddawał się długim rozmyślaniom abstrakcyjnym. Komnata była prawie pusta. Wszystko było zastosowane nie do wrażenia lub uczucia, lecz do potrzeb myśli. Z istot żywych przebywały tam tylko ptaki morskie; dla ich przyciągnięcia i zatrzymania rozstawiono pod oknami sidła misterne *).

Prostota form życia była charakterystyczną dla wielu wybitnych Holendrów — jak Wilhelm Milczący, Baruch Spinoza, bracia Wittowie. Ale prostota Sebastyana była pod pewnymi względami różną od tamtej i na pewno nie miała w sobie nic demokratycznego. Oto przykład: Ojciec Sebastyana, bogaty burmistrz Van Storck, przyjmował pewnego wieczoru towarzystwo przyjaciół, złożone głównie z ulubionych malarzów. Pogoda była piękna, zaproszeni przybywali pieszo, niektórzy w towarzystwie swych żon i córek, zarysowując się w czerwonych promieniach zachodzącego słońca, pośród starych drzew alei, prowadzącej do pałacu. Niektórzy przybyli w nadziei znalezienia suggestyi do obrazu pośród kwiatów egzotycznych i kobierców, zdobiących salę bankietową; inni, chcąc ucieszyć swe oko blaskiem tego przepychu, walką pomiędzy światłem świec a pożegnalnymi promieniami słońca. Wszyscy ci malarze żyli w stosunkach bliskiej przyjaźni, byli bez obawy, że sporami swymi przerywać będą interludya muzyczne pani Van Storck. Inna grupa gości, przed wejściem do domu, w złotym zmierzchu udała się ku zabudowaniom, zawierającym przepyszne ptactwo domowe burmistrza. (Nie powinien nas razić ten szczegół: Pater chce odtworzyć prawdziwą atmosferę holenderską).

Był już prawie wieczór, gdy goście wstąpili do sali jadalnej. Sebastyan po raz pierwszy zobaczył tu pannę Van Westreene, która była obecna wraz z matką i siostrą. Była to słynna wówczas piękność. Wywarli na siebie wzajemnie wielkie wrażenie, które się jeszcze pogłębiło po kilku następnych spotkaniach. Należała do niewielkiej liczby osób, które lubiły go, pomimo strasznego chłodu w jego obejściu.

Dotychczas Pater w Sebastyanie przedstawia nam psychologię artystyczną Holandyi, ale sztuka bynajmniej, jak widzimy, nie jest rysem przeważającym jej charakteru. Są to głównie myśliciele w kierunku praktycznym. Jeden z mistrzów Sebastyana w sposób następujący scharakteryzował jego umysł: „szukać będzie zawsze równoznaczników praktycznych dla swych potężnych konstrukcyj oderwanych i logicznych. Ta uczciwość umysłowa i prostota ma w sobie wielkie piękno." Umysły tego rodzaju, jak Spinozy np., w filozofii zwracać się będą do kwestyj praktycznych etyki, a w życiu rzeczywistem będą wielkimi spekulantami i to nie przez chciwość, lecz przez dar naturalny rachuby. Dar ten jest zresztą prawdopodobnie tylko wyrazem większego natężenia energii. Tam, gdzie umysły proste, pogodne, korzystają z chwili obecnej, umysły wyższe zastosuwują się do warunków bardziej odległych. Ta nierówność naturalna prowadzi do wielu nieporozumień: umysły głębsze muszą być ostrożne i dlatego wydają się umysłom płytkim nieuczciwymi lub chciwymi. Ale tu bynajmniej nic podobnego nie było. Sebastyan był młodzieńcem najszlachetniejszym i jakkolwiek panna Westreene była piękną i dobrze urodzoną, nie mógł nie spostrzedz, jak licznemi były żądze skierowane ku jego fortunie. Młoda panna, zauważywszy w nim pewną skłonność ku sobie, zadziwiała go nieraz i odpychała kokieteryą, której użyła może za radą swej matki. Pomimo więc rzeczywistego uczucia, które w niej panowało, wydała się Sebastyanowi wulgarną.

Tymczasem w towarzystwie uważano ich już prawie za narzeczonych. Młodzieniec zaczął omijać domy, gdzie mógł spotkać pannę Van Westreene i tak wszystko się rozchwiało. Biedne dziewczę było dotknięte do żywego. I jakkolwiek rodzice wystawili powód zerwania, jako pochodzący z jej strony, zaczęła chudnąć, słabnąć i na wszystkich, co ją widzieli, sprawiała wrażenie osoby umierającej od rany, zadanej miłości własnej. Po pewnym czasie wstąpiła do klasztoru, Sebastyan zaś coraz bardziej się zagłębiał w swe rozmyślania filoficzne, które streścił w dużym tomie. Rękopis rozpoczynał się dziwną i piękną maksymą doktora Barucha Spinozy względem miłości Boga: „Ci, co istotnie kochają Boga, nie powinni liczyć na to, iż będą przezeń nawzajem kochani." Twierdzenie to było dla Sebastyana ideałem bezintere-

*) Proszę przypomnieć sobie pająki, które Spinoza chętnie chwytał i któremi się bawił.

swobody umysłowej, tem szczytniejszym, iż całe otoczenie dążyło do tego, by przedstawić go jako doskonałego egoistę. Początkiem i końcem rozumowań Sebastyana była „Nieskończoność“: uważał wszystkie określone kształty bytu, gorące parcie życia tylko za zmarszczki nieznaczne na powierzchni ducha jedynego i absolutnego. Ta istota oderwana i wiekuista była niby bladem słońcem północnem, które unosiło się ponad martwym poziomem morza lodowatego, bezpłodnego i zupełnie samotnego. Moralnie była to ewangelia egoizmu. Osoby, którym rękopis ten wpadł do ręki, wyrażały mniemanie, iż tego rodzaju opinie powinny być zakazane przez prawo; iż były lub mogły się stać niebezpiecznemi dla społeczeństwa. Istotnie, gdy pewnego razu morze wylało z brzegów i zatopiło przechadzającego się Sebastyana, posądzono go głucho, iż to on zerwał tamy, by zniszczyć Holandyę. Zmieniło się to mniemanie dopiero wtedy, gdy ciało myśliciela odnaleziono w wieży pobrzeżnej; tuż obok niego leżało dziecko, ciepło okryte futrem Sebastyana. To dla uratowania nieznanego mu dziecka ten egoista poświęcił swe życie. Sebastyan jest więc niezrozumianym bohaterem i męczennikiem uczciwości umysłowej.

Taką jest historya Sebastyana Storcka, którą z wielu względów można byłoby uważać za stronicę z życia samego Patera. Tu autor przedstawia swą naturę myśliciela, również jak w innym portrecie „wyobrażalnym“ — *Denys z Auxerry*, o którym w swoim czasie na tem miejscu pisaliśmy, przedstawia swą naturę artysty i wodza lub raczej uwodziciela mas; wreszcie w „Księciu Karolu Rosenmoldzie“ — swą naturę marzyciela. W jednym tym człowieku, tak z pozoru cichym (był profesorem filozofii w Oxfordzie) kryło się wielkie natężenie życia. Tymczasem uważano go za rodzaj księdza świeckiego, a i on sam nieraz wyrażał życzenie wstąpienia do zakonu.

Pod chłodną i nieznaczną powierzchownością krył się w nim istotny wulkan. Pater dawał mu ujście w swych portretach, gdzie umieszcza samego siebie bądź w otoczeniu Holandyi z XVI st., bądź Francyi z wczesnego Renesansu, bądź też Niemiec z końca XVIII st. Wszędzie byłby na swem miejscu, gdyż wszędzie współczuł z wszystkiemi formami życia natężonego, bohaterskiego, czy ono się wyraża w myśli filozoficznej, w sztuce praktycznej, czy też w idealnem marzeniu. A zarazem co za żywe poczucie zatargu pomiędzy geniuszem a tłumem! Denys, ten ulubieniec mas, które trzyma pod czarem swego uroku, jest wreszcie poszarpany na kawały; podobny los spotyka Karola. Sebastyan umiera niezrozumiany i niepoznany.

Jak widzieliśmy, autor — w swej śmiałości umysłowej — nie szczędzi temu ostatniemu rysów „niesympatycznych.“ On tak nienawidzi tłumu, iż zdaje się mówić: „Ja nie chcę mieć z wami nic wspólnego, nawet w tem, co w was jest dobrem. Chciałbym tylko być zdala od was. Tak, jest to dowód wielkiej śmiałości umysłowej: wybrać tego rodzaju nieporozumienie, w którem tłum zdaje się mieć racyę, ale tylko dlatego, iż nie może zgłębić logiki bezinteresownej myśli Sebastyana, która zresztą mogła się mylić.

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Henryk Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem Piotra Chmielowskiego. Lwów, nakładem Tow. Wydawniczego. Warszawa, księgarnia S. Sadowskiego. Rok 1901, str. 225.

Sienkiewiczowskie uroczystości jubileuszowe, zachwyty i uniesienia reporterów — znalazły dotąd słabe dosyć echo we właściwej literaturze krytycznej. Pomijając pozbawioną całkiem krytycyzmu apoteozę autora „Krzyżaków,“ wyrzuconą, niby dziesięcioarkuszowy dytyramb, z zachwyconej piersi p. Józefata Nowińskiego, mamy właściwie do zaznaczenia jedno jedyne poważniejsze studyum o Sienkiewiczu. Jest niem wymieniona w nagłówku praca Piotra Chmielowskiego, podjęta i wykonana, jak się dowiadujemy z przedmowy, „bez najlżejszej dążności chwalczej, ale i bez chęci obniżenia zasług znakomitego pisarza,“ a składająca się w przeważnej części ze złączonych w pewną całość ocen, pisanych przez zasłużonego badacza piśmiennictwa pod świeżem wrażeniem odczytywanych dzieł.

Ten sposób powstania książki, pomimo połączenia późniejszego poszczególnych jej części, odbił się bądź, co bądź, niezbyt korzystnie na jej treści. Pojedynczym utworom Henryka Sienkiewicza poświęca autor sporo miejsca, lecz natomiast pomija prawie zupełnie jego charakterystykę ogólną, mówi niewiele o stosunku do poprzedników, a nic zgoła o stanowisku, zajętem wśród współczesnych pisarzy swoich i obcych. I w pojedynczych ocenach daje się zrestą zauważyć pewien brak równomierności, nieusprawiedliwiony należycie wymaganiami ogólniejszej natury. Dość powiedzieć, że, poświęcając cały prawie rozdział czwarty (14 stron), rozbiorowi słabego w gruncie rzeczy i pozbawionego już dzisiaj znaczenia dramatu „Na jedną kartę,“ autor na *dziewięciu* stronach (101—110) załatwia się nietylko z głosami krytyków o „Trylogii,“ ale i z najważniejszą jej częścią — „Potopem,“ zupełnie słusznie stawianym zresztą przez Chmielowskiego o wiele wyżej od „Ogniem i mieczem.“ Jest to w każdym razie nieproporcyonalność rażąca, zwłaszcza, że rozbiorowi owej „powieści z lat dawnych,“ stanowiącej pierwsze ogniwo „Trylogii,“ poświęcono stronic—czterdzieści

Lecz pominąwszy te odstępstwa od naturalnego stosunku między poszczególnemi ocenami dzieł Sienkiewicza, książka Chmielowskiego zawiera wiele trafnych uwag i spostrzeżeń i jest cenną próbą poddania przedmiotowemu rozbiorowi krytycznemu utworów pisarza, który w ostatnich czasach stał się u nas wyłącznie prawie przedmiotem, czasem ofiarą—reklamy. Krytyk nie szczędzi znakomitemu pisarzowi pochwał i uznania, lecz nie waha się tu i owdzie wykazać jego zależności—to od Słowackiego („Przez stepy“), to od Dumas'a ojca lub Kaczkowskiego („Trylogia“). Nie zakrywa on również przed oczyma czytelnika tej jednostronności Sienkiewicza, która sprawia, że takie np. „Ogniem i mieczem,“ porównywane z „Panem Tadeuszem“ przez pewien odłam krytyków, wydać się może istotnie „nie przedmiotowem zobrazowaniem kilku chwil z przeszłości, czem się napozór ukazuje, ale jakby apologią gospodarki szlacheckiej na Ukrainie, jakby usiłowaniem zakrycia przywar i błędów szlachty ówczesnej, uidealizowaniem tej polityki, która, poczytując lud za bydło juczne, sobie tylko wszelkie prawa ludzkie przyznawała.“ Innego rodzaju jednostronność podkreśla znów Chmielowski w „Quo vadis,“ a mianowicie pozostawienie w zupełnym cieniu ówczesnych spraw publicznych. Z powieści tej, zdaniem krytyka, możnaby wynieść to przekonanie, że wypadkiem, którym się zajmował Rzym cały, nie wyłączając dworu cesarskiego i samego Nerona, była historya Ligii i Winicyusza oraz połączone z tym zasadniczym motywem okoliczności.

Niezupełnie zgodzilibyśmy się z poglądem autora na „Rodzinę Połanieckich.“ Podnosząc słusznie niektóre jej ustępy, a zwłaszcza prześliczny epizod z Litką i pełną złagodzonego przy końcu sarkazmu historyę Zawiłowskiego, Niteczki, pani Broniczowej, Osnowskiej i Kopowskiego, autor nie zdaje się spostrzegać tego rażącego w postaci „pana Stacha“ idealizowania przez powieściopisarza egoizmu i zwyczajnego filisterstwa. Nie wszystko przecież w tej powieści wytłomaczyć można „ironią życia...“

Książkę swą kończy Chmielowski rozbiorem krytycznym „Krzyżaków,“ o których mówi na wstępie, że jeśli powieść ta „w poszczególnych swych częściach ustępuje dawniejszym pod względem barwności siły i rozmachu w wykonaniu, to przewyższa je swoją wielostronnością w przedstawieniu różnorodnych objawów życia...“

Zamierzając wkrótce pomówić w *Prawdzie* obszerniej o jubileuszowej powieści Sienkiewicza, wstrzymujemy się tu na razie od uwag o tym utworze.

Up from Slavery by Book Washington (Double day) 6 s. („Z niewoli“).

Są to pamiętniki słynnego społecznika amerykańskiego, filantropa, pisarza i działacza politycznego, murzyna, który urodził się w niewoli i dzięki olbrzymiej pracy, żelaznej wytrwałości i wielostronnym zdolnościom zdobył najwyższy wpływ i uznanie Jest to pono jeden z najlepszych współczesnych mówców amerykańskich. Świetny pisarz i doskonały organizator, poświęcił się wyłącznie pracy nad podniesieniem poziomu umysłowego i moralnego swych czarnych współbraci, zdemoralizowanych i pohańbionych przez wieczną niewolę W pamiętnikach swych podaje ciekawe szczegóły z życia dawnych niewolników, z walki o zniesienie niewolnictwa. Przedstawia namiętne dążenie wyzwolonych czarnych do oświaty i moralnego oswobodzenia się od wad wszczepionych długotrwałem poddaństwem. W pierwszych chwilach szkoły były literalnie przepełnione dużymi i małymi murzynami łaknącymi oświaty. Autor już jako niewolnik zaczął się kształcić; aby uzyskać pozwolenie uczenia się, wstawał o 4-ej rano i pracował do 9-ej wieczorem. Gdy dojrzał i zdobył niezależność materyalną, całe swe szlachetne i gorące serce oddał pracy dla innych. (*Review of Reviews*)

Etudes anglaise par Andre Chevrillon (Hachette) 3 f. 50 c. („Szkice angielskie“)

W pracy tej ciekawe ustępy poświęcone są Schelleyowi, Burns-Jonsonowi oraz Kiplingowi. W szkicu zatytułowanym „Opinia publiczna i wojna transwaalska,“ autor podnosi ujemny wpływ Kiplinga. W szkicu „Życie amerykańskie“ przedstawia zmiany, zachodzące w charakterze Anglo Sasów w odmiennem, nowem dla nich środowisku, Ameryki Północnej. (*Journal des Debats*)

The North americans of Yesterday by Frederick S. Dellenbaugh. New-York and London (Potnams sons) („Północni amerykanie z przed wczoraj“).

Dzieło pełne jest ciekawych wskazówek o wpływie zwyciężonych ludów na zwycięzców. Autor jest stronnikiem poglądu, że Indyanie Ameryki Północnej nie należą do ras południowych, lecz jako oborygeni stanowią resztki niegdyś potężnych, ucywilizowanych narodów. Miłośnicy folkloru znajdą w tem dziele plon obfity. (*Daily News*).

Les Precurseurs du feminisme M-m de Maintenon, M-m de Genlis, M-m Campan, par Louis Chabaud (P. Con) („Poprzedniczki feminizmu.“ p. Maintenon, p. Genlis, p. Campan.)

Ciekawy przyczynek do historyi ruchu kobiecego we Francyi. (*Journal des Debats*)

Japans Acession to the comity of Nations by baron Alexander von Sübold (Kegan Paul) („Przyłączenie się Japonii do związku Narodów.“)

Autor, doskonały znawca Japonii, tłomaczy szybkie postępy tego państwa na polu cywilizacyi europejskiej, wybornem przygotowaniem, jakie jej dała kultura starożytna, pilnie uprawiana w ciągu wielu wieków. „Kraj—mówi on—gdzie każdy, nawet najuboższy mieszkaniec umie czytać i pisać, gdzie uprawiano z niesłychaną czcią i zamiłowaniem w ciągu trzystu lat nieprzerywanego wojnami pokoju literaturę, sztukę i nauki, gdzie rząd starał się stosunki społeczne doprowadzić do możebnego stopnia doskonałości—kraj taki, rozumie się, przedstawił wyborne pole dla usiłowań młodego pokolenia Japończyków, ożywionych duchem europejskiego postępu...“ (*Daily News*).

L'Histoire de la presse française par Henri Avenel („Historya prasy francuskiej“).

Książka przedstawia rozmaite koleje prasy francuskiej długi czas uciskanej i prześladowanej, zanim doległa obecnej swej potęgi Autor kreśli portrety dziennikarzy francuskich, wykazuje ich omyłki, grzechy oraz zasługi i na podstawie ścisłej krytyki dokumentów wykazuje źródła wielu politycznych zmian i wypadków stworzonych przez dziennikarstwo. (*Temps*).

Handels geschichte das Altertums von prof. E. Speck (Verlag von Fr. Braudstetter). Leipzig. („Historya handlu w starożytności“).

W pierwszym tomie, który właśnie ukazał się przeprowadzone są badania nad handlem Indyj

Chin, Babilonu, Asyryi, Persyi, Egiptu, Fenicyi, Arabii, Damaszku oraz starożytnych żydów. (*Frankfurt. Zeitung*).

POEZYE

FAUN PŁACZĄCY.

Cudowna letnia noc. Las pełen srebrnych drzew.
Przez wonnych liści gąszcz przeziera księżyc [blady.
Z za rozmarzonych brzóz dochodzi tęskny śpiew:
To, tańcząc, śpiewają dryady.

Na ciemnem świerków tle gromada lasu cór,
W girlandach z dzikich róż, w pachnących włosów złocie,
Zatacza wkoło krąg i tworzy dziwny chór,
Dziewanny depcąc i paprocie.

Jedna się skarży z nich, że kiedyś, w skwarny [dzień,
Miłosne sieci jej ominął pasterz młody.
Próżny był serca krzyk i żar palących tchnień:
On wzgardził czarem jej urody.

A inna pragnie w swój miłosny zwabić krąg
Rycerza dawnych lat, co granic kraju strzeże.
Daremna rozpacz jej, załamywanie rąk:
Już dawno wymarli rycerze.

Inna sprzykrzyła już północnych niebios strop,
I szarpie serce jej tęsknota do Hellady.
Jedną pogardził król, tą znowu prosty chłop,
Więc, tańcząc, skarżą się dryady.

A wtem z za srebrnych olch, ze śmiechem: „hi, [hi, hi!"
Wyskoczył młody Faun i ku dryadom zmierza.
W złocistym blasku gwiazd koźla mu broda lśni,
Człowieka w nim pół, a pół zwierza.

Wszczyna się popłoch, lęk w gromadzie leśnych [dziew,
Pierzchają wszystkie w gąszcz z okrzykiem: [„Precz, potworze!"
Przerwał się cudny krąg, zamilknął tęskny śpiew,
I cisza zalegnie wnet w borze.

Faun wstrzymał nagle krok i w osłupieniu trwa,
Chciałby popędzić w las, lecz gorzko się uśmie- [cha...
Chciałby zagłuszyć ból.. Wtem — w oku błyska
Wydarły ją śpiewu ich echa... [łza:

Władysław Bukowiński.

Słowik, 5 sierpnia 1901.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z ZAGONU CHŁOPSKIEGO.

I. Spadkobranie i działy.

Zagon chłopski w najszerszem znaczeniu, tj. siły, środki i potrzeby ludu naszego, już niejednokrotnie były przedmiotem badań, ale niestety, bardzo luźnych i niedokładnych, więc chcąc stworzyć obraz położenia i stosunków w tej dziedzinie, trzeba byłoby robić mozolne poszukiwania nietylko w literaturze książkowej, lecz i w rocznikach pism z wielu lat; niezależnie zaś od tego szperać w różnych materyałach kancelaryjnych.

Stosunki rolne ze stanowiska prawnego, jak również potrzeby kredytowe — to są kwestye w danej chwili najważniejsze, jako wynik ogólnego rozwoju ekonomicznego i warunków bytu. Literaturę naszą z tej dziedziny wzbogaciły dwie prace (obie drukowane w zeszycie *Ateneum*, zamykającym istnienie pisma): „Spadkobranie i działy majątkowe wśród włościan Królestwa Polskiego," Jana Czeraszkiewicza i „Kredyt długoterminowy," J. Kirszrota-Prawnickiego.

Spadkobranie i działy majątkowe niewątpliwie należą do czynników, wpływających na upadek gospodarki rolnej śród włościan naszych. Pod względem zwyczajów prawno-majątkowych lud nie ma żadnych trwałych tradycyj, nie ma i nie uznaje żadnych zasad pewnych, określonych. Co do spadkobrania i działów, p. Czeraszkiewicz sprowadza zwyczaje prawne do dwu następujących: 1) Przekazywanie osady wraz z gruntem tą lub inną drogą synom, z pominięciem córek, które muszą poprzestawać na niewielkiej spłacie tytułem posagu; 2) faworyzowanie i wyróżnianie jednych dzieci kosztem innych, z widoczną krzywdą drugich lub z zupełnem ich pominięciem. Oto jest wymowna i, niestety, prawdziwa charaktorystyka. Stosunki takie w rodzinie włościańskiej pociągają za sobą opłakane skutki i następstwa. Po śmierci ojca rodziny, jako głowy domu, który wszystko trzyma w karbach i pilnuje wspólnych interesów, każde z dzieci, dążąc do niezależności ekonomicznej i swoje tylko interesy mając na celu, odosobnia się od reszty rodziny, staje się dla niej obcym i obojętnym człowiekiem, nawet wrogo usposobionym względem braci i sióstr. Zdarza się nieraz, że po rozproszeniu rodziny w drodze działów na odrębne jednostki gospodarcze, stosunki dochodzą do okropnego naprężenia: brat nie pozwala bratu czerpać wody ze studni lub poić przy niej inwentarza jedynie dlatego, że studnia znajduje się w wyłącznem jego posiadaniu.

Owa klęska ekonomiczna i moralna ludu—przeprowadzenie działów, odbywa się w trojaki sposób: 1) prywatnie i za zgodą wszystkich członków rodziny, przystępujących do działów, a przynajmniej pełnoletnich; 2) w braku jedności i zgody pomiędzy członkami rodziny — przez sąd; 3) rejentalnie — kiedy ojciec rodziny za życia rozporządza swem mieniem, czy to w formie aktu kupna-sprzedaży, czy też w formie testamentu. Podział gruntu drogą prywatną między spadkobiercami, po cichu, zdarza się najczęściej, gdyż tym sposobem można obchodzić przepis o minimum 6-morgowem. Ojcowizną dzielą się w naturze, krając grunt na tyle pasków, ile jest głów. Co gorsza, że nie wszyscy otrzymują swój dział w jednym, całkowitym kawałku. Zwykle każdy otrzymuje kilka parceli, nieraz bardzo od siebie odległych. Grunt dzieli się zwykle na wstążki tak wązkie, że aby je zaorać, „wystarczy puścić pług jeden raz tam i z powrotem, czyli odwalić dwie skiby" i już całe pole będzie zorane. Jedna para bron zupełnie obejmuje szerokość takiego działu i przy „nawrocie" bronujący pomimo woli musi najechać na grunt sąsiada, aby drugi raz puścić brony na swój pasek.

Podział gruntu wzdłuż odbywa się z dwu przyczyn: aby mieć dostęp do swego działku od drogi publicznej dla uprawy roli i wywiezienia nawozu, dla siewu i sprzętu, nie przejeżdżając przez działy cudze, co daje możność unikania zatargów. Grunt, podzielony na długie paski, daje tę jeszcze przewagę, że jeżeli są nierówności powierzchni, to urodzaj na wyższych miejscach wynagradza wymoki i straty na niższych. Zdarza się, iż z powodu częstych działów pomiędzy następnymi spadkobiercami grunty dochodzą do niesłychanie małej szerokości, tak iż dzielenie wzdłuż jest już niemożliwe. Wtedy muszą dzielić na „przeciętki" i brać według starszeństwa urodzenia.

Inwentarzem żywym i martwym tudzież ruchomościami włościanie również dzielą się w naturze, a różnicę dopłacają gotówką. Z zabudowań gospodarczych korzystają w równej części albo też biorą jeden budynek za drugi, dopłacając przy zamianie różnicę pieniędzmi, stosownie do oszacowania przez biegłych. W razie jeżeli nie może dojść do zgody pomiędzy spółspadkobiercami, rozbierają budynki, dzielą się dylami i deskami.

Włościanie nie robią żadnej różnicy pomiędzy mieniem odziedziczonem a dorobkowem. Całe mienie ojcowskie idzie do podziału pomiędzy dzieci. Majątek małżeństwa jest wspólny. Dzieci przy działach prawie nigdy nie robią różnicy pamiędzy majątkiem ojcowskim a macierzyńskim.

Przy podziale osad *in natura*, po cichu, prawie nigdy nie dochodzi do spłat pieniężnych, gdyż każdy ze spółspadkobierców przekłada grunt nad pieniądze, przytem obawia się podejścia ze strony spłacającego.

Brak dostatecznego kapitału na spłacecenie rodzeństwa, trudność zaciągnięcia pożyczki i uciążliwe warunki, stawiane przez wierzyciela, to są główne hamulce w przeprowadzaniu działów familijnych.

Sądy gminne, przy rozstrzyganiu spraw działowych włościańskich kierować się muszą przedewszystkiem przepisami prawa obowiązującego. Przepisy te jednak, jak zaznacza p. Czeraszkiewicz, w obecnej procedurze działowej sądów gminnych niewielkie mają zastosowanie przy działach włościańskich. Prawem zwyczajowem również kierować się nie można, gdyż właściwie niema go wcale. Z tego powodu sądy gminne uskuteczniają działy wmyśl ukazu Najwyższego z r. 1864, nie naruszając minimum (6 morgów). Obok prawa obowiązującego brane są przytem pod uwagę zwyczaje miejscowe. Z tego powodu praktyka sądowa bywa różna i niejednostajna. P. Czeraszkiewicz przypuszcza jednak, że na mocy zebranego materyału od czasu reformy r. 1876 i wprowadzenia nowej ustawy sądowej postępowanie działowe zczasem ujednostajni się i wyrobi normy ogólnie przyjęte, powszechnie obowiązujące.

Bardzo smutną cechą działów, wyzyskaną nawet w powieściach i sztukach, jest dożywotnictwo. Doświadczenie wykazało, że nawet prawo nie zawsze zabezpiecza los rodziców. Nieraz ojciec wnosi skargę do sądu na własnego syna, któremu zapisał całą ojcowiznę, że ten go nie szanuje, bije, odmawia strawy i nawet na żebraninę wysyła. Nieraz ojciec, zapisawszy rejentalnie swą schedę dzieciom, musi szukać przytułku i pożywienia u obcych.

Sporządzanie aktów notaryalnych urzędowych przez włościan w większości wypadków praktykuje się celem obejścia prawa przez sprzedaż całej osady jednemu z dzieci z krzywdą drugich. Wogóle mnóstwo przykładów świadczy, że idea równości pod względem prawnym nie jest ściśle zachowana w stosunku do dzieci jednych rodziców.

P. Czeraszkiewicz przytacza charakterystyczne akta kupna - sprzedaży i utrzymuje, iż wszystkie tego rodzaju zapisy, sporządzane przez włościan w kancelaryi regentów, bądź w formie aktu sprzedaży (kryta darowizna) między żyjącymi, bądź w formie testamentu, są symulacyjne i uczynione z obrazą art. 913 kodeksu Napoleona, według którego część rozporządzalna nie może przenosić połowy majątku rozporządzającego, gdy ten pozostawia po swym zgonie jedno tylko dziecko prawe, trzeciej części, jeżeli pozostawia dwoje itd. Jest to wszakże przepis tylko na papierze, gdyż sądy gminne nie mają prawa roztrząsać ważności lub nieważności ak-

tów formalnie zawartych, tyczących się praw rzeczowych na nieruchomość. Jeżeli zaś strony interesowane nie posiadają dostatecznych funduszów do wystąpienia w sądzie okręgowym o unieważnienie aktu, który krzywdzi prawa innych, to dokument taki najczęściej utrzymuje się w swej mocy i jedno dziecko, faworyzowane, zagarnia całą ojcowiznę lub dział, przewyższający schedę, należną mu prawnie.

Pomijając inne niewłaściwości, musimy zwrócić uwagę na same zjawiska niebezpieczne dla całej ludności, mianowicie na rozdrabnianie się osad włościańskich, które jest stałem i przybiera znaczne rozmiary. Przytaczamy dane, zaczerpnięte przez p. Czeraszkiewicza z rocznych wykazów sądów gminnych za cztery lata — od 1895 do 1898, dotyczących spraw o spadki i postępowania spadkowe w całem Królestwie polskiem. Z wykazów tych widzimy, iż największa ilość podziałów osad włościańskich w r 1898 przypada na gub. Siedlecką (96%), następnie idą: Lubelska (95,6%), Kielecka (91,5%), Radomska (88,4%), Piotrkowska (83,1%). Najmniejsza ilość podziałów przypada na gub. Płocką (35,9%). W r. 1898: Kielecka 97,3%, Radomska 93,3, Siedlecka 91,5%, Kaliska 90,2%. Największy wzrost liczebny podziałów daje się zauważyć w gub. Płockiej. Ogółem w ciągu czterech lat podzieliło się 84,796 osad, a więc na każdą gubernię w ciągu roku przypada przeciętnie 870 podziałów. Na największe cyfry podziałów przypadają stosunkowo bardzo mało cyfry sprzedaży spadków. Największa ilość sprzedaży osad przy działach familijnych przypada na gub. Warszawską i Piotrkowską. W pierwszej z nich w ciągu czterolecia sprzedano z licytacyi 296, w drugiej 250.

Ciągłe rozdrabnianie gruntów włościańskich wskutek nieustających podziałów między spadkobiercami — pisze p. Czeraszkiewicz — doprowadziło gospodarstwo rolne większości włościan w Królestwie Polskiem do tego stanu, który wprost uniemożliwia choćby o tyle tylko udoskonalony system uprawy roli, aby zabezpieczyć mógł dostateczny urodzaj. Ilość ziemi, przypadająca na każdego gospodarza włościanina wskutek naturalnego przyrostu ludności, z biegiem czasu zmniejsza się niesłychanie. Uprawiany i obsiewany przez gospodarza działek staje się częstokroć tak mały, iż nie daje możności wyżywienia się rodzinie i zaspokojenia nadto ciężarów gruntowych.

Taki podział gruntów, jak obecnie, sprowadza najfatalniejsze skutki: kłótnie, procesy, szkody, czynione wzajemnie itd. Worywanie się w cudze grunty i miedze, wypasanie zasiewów sąsiada, kradzieże w polu, gwałcenie kopców granicznych, to są zjawiska powszednie, działające rozkładowo zarówno pod względem moralnym, jak i materyalnym na włościan naszych. System szachownic, panujący w całym kraju — to jedna z największych klęsk. Wymowną ilustracyą tych stosunków są dane statystyczne z całego Królestwa Polskiego, dotyczące pogwałcenia i zawładnięcia cudzej własności. Wszystkich spraw tego rodzaju, rozstrzygniętych przez sądy, było w całym kraju: w 1895 r. 9.140, w 1896 — 11,061, w 1897 — 12,159, w 1898 — 12,071. Największa ilość przywłaszczeń przypada na gub. Radomską, Siedlecką, Lubelską i Kielecką. Porównanie cyfr podziałów i zawłaszczeń stwierdza, iż największa ilość zawłaszczeń stoi w pewnym stosunku proporcyonalnym z ilością podziałów.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wrodzoną zachowawczość ludu, brak gotówki do zaopatrzenia się w niezbędne środki gospodarstwa, nizki poziom kulturalny, brak środków pomocniczych, jak np. przemysł itd., to przyjdziemy do przekonania, że w obecnych warunkach gospodarstwo chłopskie musi upadać, że wprost nawet niema dla niego ratunku. Dopóki więc nie nastąpi uregulowanie prawne chorobliwych stosunków, a następnie dopóki się nie stworzy pewnych organizacyj ekonomicznych i nie wprowadzi wyższej kultury do gospodarstw chłopskich, póty nie można marzyć nietylko o ich podniesieniu, ale nawet o ocaleniu.

Zen. Piet.

HANDEL DETALICZNY.

III.

Każdy przewrót ekonomiczny, szerząc klęski pośród przedstawicieli dawnego porządku, z konieczności wywołuje dążenie do powstrzymania w biegu zjawisk złączonych z tym przewrotem. Najczęściej wszakże ci, którzy bronią ekonomicznych placówek, starego porządku, nie chcą lub nie mogą zrozumieć istoty zjawiska, ich związku z całym systemem ekonomicznym i dlatego szukając środków obrony, chcą usuwać nie przyczyny lecz skutki. Tak dzieje się z opozycyą przeciwników, którzy próbują powołać do życia nowego dawne ustawy cechowe, a stworzyć mogą tylko karykaturę dawnego cechu; tak dzieje się z opozycyą rolników przeciw rozwojowi przemysłowemu, przeciw konkurencyi zboża zamorskiego, i to samo powtarza się teraz, kiedy kupcy detaliści zaczynają zwalczać prądy w tej dziedzinie handlu.

Opozycya ta zwróciła się wyłącznie przeciw wielkim magazynom. Jest to na pierwszy rzut oka dziwnem, gdyż właściwie daleko groźniejsze od konkurencyi wielkich magazynów dla przedstawicieli dawnego typu kupca-detalisty są sklepy specyalne. Te bowiem pozbawiają dawnych detalistów klienteli najbardziej pożądanej, bo zamożnej i mającej znaczne zapotrzebowania, podczas gdy magazyny wielkie stwarzają sobie właściwie nową klientelę. Jeżeli więc całą nienawiść skierowano przeciw tym nowotworom, należy to tłomaczyć czynnikiem stale działającym: bo co nowe, co występuje w formie niezwykłej, budzi najpierw opozycyę.

Jakie tedy zarzuty czynią przedstawiciele i obrońcy dawnego „solidnego handlu" wielkim magazynom? Najbardziej krańcowym jest zarzut ten, że handel odbywa się tu wrzekomo „nierzetelnie." Czy zarzut to słuszny? Gdyby detaliści dawnego typu mogli się rzeczywiście powołać na bezwzględną uczciwość praktyk handlowych w swoim procederze, należałoby liczyć się bardzo z tym zarzutem. Ponieważ wiemy jednak, że tak nie jest, rozstrzygnąć wypadnie spór w sposób podobny, jak w „Dysputacyi" Heinego rozstrzyga się spór pomiędzy mnichem, a rabinem: ani w wielkich magazynach, ani w sklepach dawnego typu o bezwzględnej skrupulatnej uczciwości niema mowy; tu jak i tam kupuje się jedwab obciążony, materyały farbowane tak, że płowieją po pierwszem praniu, kupuje się sukno wyrabiane ze starych gałganów, cygara „hawańskie," zawierające pod warstwą górną liści tytuniowych różne paskudztwa itd. Drugi zarzut polega na tem, że magazyny owe sprzedają „prawie wyłącznie tandetę." Zarzut to po części uzasadniony, zwłaszcza o ile chodzi o typ magazynów, jaki powstał w Niemczech! Magazyny te szukają klienteli śród najszerszych mas nabywców i dlatego muszą przedewszystkiem mieć towar możliwie tani, a więc i „tandetę." Taką samą tandetę jednakże sprzedaje kupiec starej daty; różnica polega na tem, że ten ostatni trzyma w swoim sklepie obok tandety towar wyborowy. Weźmy przykład. W „składzie norymberszczyzny" dostanie pończoch bawełnianych po cenie od 15 kop do 1 rb. za parę, wielki zaś magazyn drogich gatunków nie trzyma, gdyż kierownik jego słusznie rozumuje, że ci którzy szukają tego towaru, udają się do specyalnego składu wyrobów pończoszniczych, trzyma zaś gatunki tanie, a kupując hurtownie, sprzedaje po 13 lub 12 kop. pończochy, które jego współzawodnik może sprzedać po 15 kop. Tą zasadą, sprzedawania li tylko towarów w gatunkach tanich, lecz po cenie jeszcze tańszej, niż sprzedają inni detaliści stoją magazyny, że zaś mogą one rzeczywiście obniżać cenę zwłaszcza tych tanich towarów, a więc wyrobów przeważnie wielkiego przemysłu, to rzecz jasna: Przedsiebiorstwo tego rodzaju obraca setkami milionów, obrót paryskiego *Bon Marche* obliczają blizko na 200 milionów franków; kapitał zakładowy wynosi dziesiątki milionów, a przytem przysługuje mu jeszcze kredyt bankowy; może ono przeto obyć się bez pośrednictwa hurtowników, i co więcej posiada własne fabryki, lub też trzyma w zależności różnych fabrykantów, nabywając od nich towar za gotówkę, a nawet udzielając zaliczki. Lecz — podnoszę dalej zarzut—w takim razie owe magazyny przyczyniają się do ułatwiania zbytu tandety. Zapewne, tylko, że wytwarzanie „tandety" leży w naturze samej produkcyi kapitalistycznej, a wielkie magazyny czynią tyle tylko, że stosują się do tych warunków. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby — że powrócimy do naszego przykładu — nie kupowano pończoch tak tanich, które muszą być liche; szkoda tylko, że ogółu nie stać na droższe, dlatego sądzimy, lepiej pono aby noszono pończochy po 12 kop. para, aniżeli—onucze. Następnie gniewają się kupcy starej daty na „podstępne przywabianie kupujących" w magazynach. To przywabianie odbywa się po części przez urządzanie sklepów; wielkie magazyny londyńskie pierwsze zaprowadziły okazałe witryny wystawowe; „Louvre" dał pierwszy przykład urządzenia sklepu z przepychem i zbytkiem olśniewającym; magazyny berlińskie pokusiły się o budowę gmachów według najnowszych zdobyczy architektury i sztuki stosowanej.

Drobni przedsiebiorcy handlowi zapewne nie mogą tu współzawodniczyć z wielkimi, lecz publiczność, spożywcy, nie tracą przecież na takich zabiegach konkurencyjnych i dlatego zarzut nie wytrzymuje krytyki. Dla przywabienia klienteli magazyny posługują się fortelem następującym: Pewne kategorye towarów, które mają cenę ustaloną niejako w całym handlu, są tu stale sprzedawane po cenie niższej. Paczka zapałek np. kosztuje w całych Niemczech feniga. magazyny sprzedają 10 paczek za sześć fenigów; tak samo igły, papier listowy są sprzedawane taniej. Fortel to bardzo skuteczny: publiczność kupująca zna dokładnie cenę „normalną" tych towarów, widząc zaś, że w magazynach są one sprzedawane o tyle taniej, nabiera przekonania, że wszystko jest tu o wiele tańszem. Jest to wprowadzanie w błąd kupujących, gdyż te towary, używane jako przynęta, faktycznie magazyny sprzedają bez zysku, a może nawet ze stratą niekiedy, czego nie uczynią przecież z ogółem towarów. Jednakże wobec innych szalbierstw powszechnych w handlu, fortel ten jest jeszcze bardzo niewinnym, a już wcale nieszkodliwym dla publiczności, jeżeli wogóle kupuje ona rzeczywiście w tych magazynach tanio. Słowem, zarzuty, czynione wielkim magazynom, dowodzą tylko, że są one bardzo groźnymi współzawodnikami, o czem nikt nie wątpi, lecz nie przekonywają, by magazyny wyrządzały szkodę spożywcom.

Jednakże we Francyi i w Niemczech prawodawcy ostatecznie przychylili się do żądań kupców-detalistów i postarano się utrudnić rozwój kapitalistyczny w tym zakresie. Gdy przyszło wszakże do czy-

nów, okazało się, że nikt środka skutecznego nie zna, a najmniej owi gorliwi obrońcy „solidnego handlu“ i „stanu średniego,“ który jest rzekomo „filarem porządku społecznego.“ Zabronić bowiem tworzenia wielkich magazynów nie było żadnej możności, gdyż sprzeciwia się to ogólnym podstawom polityki handlowej — wolnemu współzawodnictwu. Chwycono się więc środka jedynego, jaki pozostawał: nałożono na magazyny zwiększony podatek, wzrastający w miarę ilości kategoryi towarów (*branches*), zjednoczonych w magazynie, liczby subjektów handlowych i obrotu. Skutek był łatwy do przewidzenia: Podwyższenie podatku równa się dla przedsiębiorstwa zwiększeniu kosztów własnych; w przedsiębiorstwach innego rodzaju może powetowanoby straty stąd wynikające, podwyższając cenę towaru, i gdyby tego środka chwyciły się wielkie magazyny, współzawodnictwo ich stałoby się istotnie mniej groźnem dla drobnych detalistów, lecz chodzi o to, że tego właśnie magazyny uczynić nie mogły, byłoby to odstąpieniem od zasady powyżej wyłuszczonej: sprzedawania tanich towarów tanio, a tem samem podkopanie własnego bytu. Musiały więc wielkie magazyny chwycić się innych środków: Ponieważ zwiększyły się rozchody przedsiebiorstwa, zmniejszył się zysk na jednostce towaru, zatem — trzeba zwiększyć obrót, by utrzymać zysk ogólny; obok tego zaś starano się zwalić podatek na innych: na spożywcę zabrania zasada podstawowa, więc zwalono na wytwórcę. Skutki te, przewidziane przez głębiej patrzących ekonomistów, nastąpiły też rzeczywiście. W r. 1893 zaprowadzono we Francyi nowy podatek i magazyn „Bon Marché“ np., który płacił przedtem około 600,000 franków, płaci teraz blizko milion, ale obroty jego wzrosły ze 100 do 200 milionów; w r. 1898 zaprowadzono podatek podobny w Bawaryi i wnet obiegł prasę okólnik jednego z wielkich magazynów do dostawców, w którym oświadczono, że magazyn odtąd będzie im potrącał przy obrachunku 1/4 w roku 1899 zaprowadzono podatek podobny w Prusiech, a magazyny odpowiedziały na to rozszerzeniem swoich przedsiebiorstw i zakładaniem nowych filij. Postąpili tedy owi kupcy detaliczni jak w bajce Krasickiego konie, co to wóz z sianem do wody wywróciły, by sobie ulżyć; „ale czego nie docíekły, cięższe, bo zmokłe do domu przywlekły.“

To też te przedsiebiorstwa wielko-kapitalistyczne w handlu detalicznym czynią nader szybkie postępy. Początkowo istniały wielkie magazyny tylko w Londynie, New-Yorku, Paryżu, Berlinie, dziś istnieją takie przedsiębiorstwa — często filie przedsiebiorstw stołecznych — w każdem niemal większem mieście Ameryki i Europy zachodniej. Dziś jeszcze czynią sobie one wzajemnie nader ostrą konkurencyę i Berlin np. bawił się niedawno pojedynkiem na zniżkę cen pomiędzy Tietzem, a Wertheimem; maluczko poczekawszy, ujrzymy, jak ci olbrzymi kapitalistyczni pójdą za przykładem swych kolegów przemysłowych — utworzą syndykaty i kartele, a dopiero wtedy przedstawiciele „solidnego handlu“ zaśpiewają cienkim głosem.

Obok dążności kapitalistycznych w handlu detalicznym, jak zaznaczyliśmy, przejawiają się również nie kapitalistyczne, a po części antikapitalistyczne: powstają potężne związki spożywców i stowarzyszenia spożywcze. Najważniejszą cechą, charakteryzującą te instytucye jest brak wyzysku nieświadomości nabywców. Słusznie powiada E. Auseele, kierownik stowarzyszenia spożywczego i współdzielczego „Vooruit“ w Gandawie: „Czy marzono kiedy o tem, aby można handel umoralnić i uszlachetnić? Zdawało się to zadaniem niewdzięcznem, prawie niemożliwem. A przecież stowarzyszenia spożywcze rozwiązały je. Handel, według wyrażenia Dumasa, „to pieniądze cudze.“ Do stowarzyszeń spożywczych wyrazy te nie stosują się jednak. Tu nie może być mowy o wyzysku, a jeżeli powstaje zysk przy sprzedaży, to dostaje się w udziale nabywcom, masom, wyzyskiwanym...“ Słusznie nazywa Auseele „uszlachetnieniem handlu“ praktykę owego stowarzyszenia gandawskiego, które ubezpiecza swoich członków, wyłącznie robotników, na starość w ten sposób, że wypłaca każdemu, kto był członkiem przez lat 20 i kupił towarów w tym czasie najmniej na 3,000 franków, rentę dożywotnią od 120 do 300 franków rocznie. „Pracujesz tedy na rentę dla ojca, gdy kupujesz syrop albo ocet, gdy dajesz do zelowania buty, gdy kupujesz podarunek dla żony lub babki, albo zabawkę dla dzieci na gwiazdkę...“ *).

Istotnie, stowarzyszenia spożywcze w Anglii z zysków osiągniętych wyznaczyły w r. 1898 na cele publiczne 78,423 funtów sterlingów (około 630,000 rubli), a stowarzyszenia niemieckie 23,827 marek. Rzeczywiście więc można mówić tu o „uszlachetnieniu handlu.“

Co do podstaw ekonomicznych tych stowarzyszeń, muszą one dążyć tak samo, jak przedsiebiorstwa kapitalistyczne w handlu, do wyrugowania hurtownika i importera, aby módz sprzedawać w handlu detalicznym towary po cenie hurtowej, a przytem mieć możność nabywania po cenie możliwie niskiej najlepszych towarów, jakich rynek może dostarczyć. Ten cel oczywiście nie może być osiągniętym, gdzie drobne stowarzyszenia, liczące po kilkaset, a nawet kilka tysięcy członków, działają na własną rękę. To też powstały dziś już w Anglii, Niemczech, Francyi, Holandyi, Szwajcaryi *związki stowarzyszeń spożywczych* dla wspólnego zakupu towarów. W Anglii dwa takie związki zakupiły w r. 1898 towarów na 18,5 milionów f. st. (około 166,5 milionów rubli), oddziaływają one więc już bardzo poważnie swym popytem na ceny rynku wszechświatowego. Jednocześnie też powstają pod wpływem tych stowarzyszeń spożywców stowarzyszenia spółdzielcze, zwłaszcza w Anglii i Belgii.

W Anglii liczba stowarzyszeń wzrasta stale, choć powoli, natomiast liczba członków w ciągu lat dwudziestu wzrosła w trójnasób i prawie tylež cyfra obrotu w sprzedaży, zysk zaś do podziału pomiędzy członków wzrósł 3,5 razy; a przytem rozwój w ostatniem dziesięcioleciu jest daleko intensywniejszy, niż w poprzedzającem (od 1878 do 1888 przybywa 363,000 nowych członków, od 1888 do 1898 r. — 767,900). To znaczy, iż w miarę tego, jak stowarzyszenia spożywcze dochodzą do takiego stopnia rozwoju, że mogą dostarczyć swym członkom wszystkich korzyści, płynących z przedsiebiorstwa na wielką skalę, lgnie do nich coraz bardziej masa spożywców, a w miarę znów tego mogą one rozwijać się coraz potężniej. Stąd zaś wniosek, że w najbliższej przyszłości rozwój w tym zakresie będzie coraz intensywniejszy.

Mylą się zapewne ci, którzy w stowarzyszeniach spożywczych lub spółdzielczych chcą upatrywać panaceum na wszelkie dolegliwości społeczne, lecz nie ulega też wątpliwości, że stowarzyszenia spożywcze w dziedzinie handlu są potężnym czynnikiem rozwoju w kierunku uspołecznienia.

Dr. J. B. Marchlewski.

*) E. Auseele: Odczyt wygłoszony w Paryżu 12 lipca 1900 r. i przedrukowany w *Neue Zeit* nr. 15, za r. 1900/1.

NA MARGINESIE.

— Pisarz francuski, Teble, podaje ciekawe szczegóły o dziennikarstwie japońskiem. Wiadomo, że Japonia otworzyła swe granice cudzoziemcom dopiero w 1853 r. na żądanie Ameryki, która, wysławszy okręty wojenne do portów japońskich, zmusiła Japonię do przyjęcia ich. Od owego czasu datuje się wpływ Europejczyków i szybko po sobie następujące reformy w życiu Japonii. Zreformowane zostało i dziennikarstwo. Przedtem istniał w Japonii tylko jeden rodzaj gazety, zwany *Ulicznym krzykaczem*. Za pomocą bambusowych grzechotek i klaskania w kastaniety roznosiciel zwracał uwagę przechodniów, gromadził słuchaczy dokoła siebie i sprowadzał ich do drzwi i okien domów, a odczytawszy głośno wiadomości ze świstka papieru, dostawał zapłatę i szedł dalej. Gdy zczasem do Japonii przedostały się gazety europejskie, dziennikarze zaczęli je naśladować, tłomacząc artykuły ciekawe przeważnie z gazet holenderskich. Obecnie w Japonii istnieje 2,000 wydawnictw peryodycznych, wypuszczających rocznie 92 miliony numerów. Przeważają miesięczniki i tygodniki, gdyż większość czytelników polityką dotychczas się nie zajmuje i szuka w wydawnictwach świeżych, bieżących wiadomości społecznych oraz naukowych. W miarę jednak rozwoju życia politycznego i partyj politycznych, wzrasta wpływ oraz poczytność gazet codziennych. Obecnie żadna reforma, żaden ruch ważniejszy w dziedzinie stosunków społecznych, prawnych lub ekonomicznych nie uchodzi uwagi gazet japońskich. Najrozmaitsze kwestye, często bardzo drażliwe, roztrząsane są przez gazety japońskie z niezwykłą śmiałością i naciskiem. Cztery lata temu gazety solidarnie wszczęły walkę z konkubinatem i wielożeństwem, tolerowanem przez prawo i zwyczaje japońskie. Użyły wszelkich środków, poczynając od poważnych rozpraw a kończąc satyrą, aby zohydzić ziomkom poligamię. Ogłaszały nazwiska poligamistów, podawały ich portrety, wyliczały imiona nałożnic... W rezultacie pozyskały sobie opinię publiczną, która je poparła. Poczynający się oswobodzicielski ruch kobiecy w Japonii zawdzięcza swe narodziny dziennikarstwu. W roku zeszłym dzienniki wypowiedziały wojnę duchowieństwu buddyjskiemu, dowiodły mu ciemnoty, fanatyzmu, wyzysku i zażądały zniesienia opieki rządowej nad kościołem buddyjskim. Rozbudziły życie i dążenie do poprawy wśród samych bonzów i zachwiały raz na zawsze w umysłach ziomków uznanie dla wielce przestarzałych przesądów. Obecnie wszczęły walkę z prostytucyą zorganizowaną w słynne stowarzyszenia „gejsz,“ zostające pod jawną opieką i kontrolą rządu. Do 1897 r. miała Japonia bardzo surowe prawa prasowe, obecnie je zniesiono i zostało tylko kilka punktów, za których naruszenie gazety ścigane są sądownie.

Dziwny widok przedstawia drukarnia japońska. Używają tam liter podobnych do chińskich i gazeta potrzebuje około 9,500 rozmaitych znaków, rozłożonych w oddzielnych kasztach. Koło pracującego zecera uwija się cały rój chłopców 10—15-letnich, którzy wciąż krążą po sali, mrucząc lub wyśpiewując głośno nazwy liter, jakich kazano im dostarczyć. W dziełach naukowych probują Japończycy stary swój alfabet hieroglificzny zastąpić europejskim.

— Charles Letourneaux pracuje obecnie nad dziełem „Psychologia narodów.“ *Revue des Revues* zamieściło z tej książki rozdziały o Chińczykach. Sądząc z nich, nie rokujemy powodzenia nowemu dziełu słynnego socyologa. Jest to zbiór powszechnie znanych, często sprzecznych z sobą charakterystyk, związanych mechanicznie i niedających żadnego wyższego obrazu. Widocznie dla „Psychologii narodów“ czas jeszcze nie nadszedł, nauka nie zgromadziła jeszcze dla niej materyałów, nie wyrobiła odpowiedniej metody ich opracowania. Samo pojęcie „narodowości“ pływa we mgłach mniej lub więcej długich i niedolnych uczonych rozumowań. Wątpimy, aby kiedykolwiek nauka znalazła zwięzłe i zadawalające określenie tego po-

jęcia. Zostanie ono, jak przestrzeń, czas, życie zjawiskiem, które się siluje i jaskrawo odczuwa a słabo rozumie. Dla umysłów ciasnych, suchych, skłonnych do doktryn staje się często wprost niezrozumiałem.

— Podajemy kilka ciekawych cyfr, zaczerpniętych z *L'Annuaire de la Presse française*. *Le Petit Journal* kosztuje 5 centimów i rozchodzi się dziennie w *milionie* egzemplarzy; wartość tego dziennika oceniona jest na 60 milionów franków: zużywa rocznie 250,000 kilogramów farby drukarskiej. *Le Petit Parisien* rozchodzi się w 700,000 egzempl. W Paryżu 125,000 ludzi pracuje w dziennikarstwie, licząc w tem zecerów, administracyę oraz roznosicieli. Ze 154 gazet, wychodzących w Paryżu, jest 74 republikańskich, 27 radykalnych i socyalistycznych, 25 monarchicznych i klerykalnych, 8 nacyonalistycznych i antysemickich, 20 nieokreślonych. Na prowincyi 1,078 należy do republikańskich, 228 do radykalnych i socyalistycznych. *Temps* jest największą i najpoważniejszą gazetą francuską. Dziennikarstwo francuskie stosunkowo niedawno oswobodziło się z wszelkich powijaków i jeszcze w 1894 r. Cazimir Perier i Dupuy wprowadzili cały szereg zmian, znanych pod nazwą „loi scelrates" i skierowanych przeciw wolności słowa.

KRONIKA.

Niechlujstwo czy plotkarstwo. Obiega Warszawę wieść, że zarząd szpitala Dzieciątka Jezus zabrał z sobą do nowego gmachu wszystkie swe *stare* rupiecie, których *nie zdążył* sprzedać na miejscu. A więc dla oszczędzenia kilku tysięcy rubli odrazu zbrukał i zanieczyścił instytucyę, kosztującą kilka milionów....

Krąży pogłoska, że gmach poszpitalny nie zostanie zwalony, lecz że go przerobią na *mieszkania* oraz *sklepy* nawet... z wiktuałami... Opowiadają, że z pieczar szpitalnych w czasie przeprowadzki wypędzono niespodzianie 7 krów chudych i 7 tłustych, które następnie znikły w stajence nowego gmachu, aby tam w dalszym ciągu dostarczać dziennie po naparstku mleka (z bakteryami) dla każdego z 200 szpitalnych niemowląt, płodzić robactwo, wykarmiać roje much, fabrykować dla chorych przyjemne wyziewy i zapachy uzdrawiające...

Czy wierzyć, czy też „między bajki podać"?

Księgi stanu cywilnego (*War. Dniew.*) donosi, że na zasadzie Najwyżej zatwierdzonego zdania Rady państwa, sądy pokoju okręgu warszawskiego, zostały uwolnione od obowiązku parafowania i rewizyi ksiąg stanu cywilnego. Czynności te, co do ksiąg osób wyznania ewang.-augsburskiego i reformowanego, spełniać będą superintendenci z nominacyi konsystorza. Parafowania i rewizyi stanu cywilnego wszystkich innych wyznań, oprócz prawosławnego, katolickiego, ewangielickiego i reformowanego, będą dokonywali: w Warszawie — członkowie miejscowej policyi, wyznaczeni przez oberpolicmajstra; w miastach wskazanych w uwadze do art: 84 ustawy o zarządzie w Królestwie Polskiem i w m. Częstochowie — radcy wydziałów wojskowo-policyjnych rządu gubernialnego, w pozostałych zaś miejscowościach—pomocnicy naczelników powiatów.

Polska sztuka stosowana. W Krakowie pod tą nazwą zawiązane zostało Towarzystwo, którego statut już zatwierdzono. Bilet członka po cenie 10 koron można nabyć w kancelaryi Muzeum Narodowego w Krakowie, oraz w domu komisowym A. Modlińskiego w Zakopanem.

O Morskie Oko wciąż jeszcze, toczy się spór nierozstrzygnięty, który z dnia na dzień niemal coraz bardziej się zaostrza. Namiestnik hr. Piniński, jak twierdzi *Gazeta narodowa*, uczynił wszystko, co było można, ażeby przyśpieszyć wybór superarbitra do sądu polubownego, mającego wydać wyrok ostateczny i wymódz na rządzie węgierskim za pośrednictwem prezesa ministrów Körbera rozkaz powstrzymujący budowę baraków na gruncie spornym. *Nowa reforma* jednak, wbrew uspakajającym dowodzeniom *Gazety narodowej*, twierdzi, że środki przedsięwzięte przez hr. Pinińskiego są „prawie kapitulacyą przed Węgrami."

Wykłady dla przyjezdnych w uniwersytecie krakowskim rozpoczął d. 24 czerwca prof. Ulanowski lekcyą o zasadach historycznych prawa publicznego. Słuchaczek zebrało się tylko trzydzieści parę, z tych zaledwie trzy z Warszawy. Wykłady jednak zdają się mieć przyszłość zapewnioną, dzięki usilnym staraniom wykładających i organizatorów, których nie zraziły drobne rozczarowania i nie powstrzymają zapewne od szlachetnej działalności pozorne niezrozumienie własnej korzyści ze strony najbardziej zainteresowanych.

Hygiena wychowawcza. Tow. hygieniczne zwróciło się do kuratora okręgu naukowego warszawskiego z prośbą o wyjednanie u władz właściwych zatwierdzenia projektu o lekarzach szkolnych, opracowanego przez wydział hygieny wychowawczej. Projekt zawiera następujące przepisy: 1) W każdej szkole powinien być lekarz, któryby miał nadzór nad hygieną szkoły; 2) lekarz jest obowiązany przynajmniej dwa razy do roku dokonać badania uczniów pod względem fizycznym i umysłowym i opinię swoją komunikować rodzicom, żądając zastosowania odpowiednich środków w celu usunięcia wad dostrzeżonych; 3) lekarz powinien być stałym członkiem rady pedagogicznej i posiadać w niej głos na równi z innymi członkami, przyczem opinia jego powinna być przy ocenie odpowiedzialności uczniów.

Wiadomości społeczne. Warsz. Tow. dobr. powołało dr. R. Radziwiłłowicza na wiceprezesa czytelni bezpłatnych, której to godności zrzekł się p. J. Karłowicz.

— Artykuły prawodawstwa górniczego i kopalnianego powiększone zostały przepisami o emeryturach dla robotników, którzy stali się niezdolnymi do pracy.

— Czeskie stowarzyszenia Sokołów otrzymały zaproszenie z Francyi na uroczystość W. Hugo: odbędzie się ona w połowie przyszłego miesiąca [illegible]

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawy stowarzyszeń pożyczkowo-oszczędnościowych w Nałęczowie i Busku, oraz Tow. wzajemnego kredytu w Dobrzyniu gub. Płockiej i w Częstochowie.

— Zgodnie z rozkazem Najwyższym, przedłużono w Petersburgu przepisy o ochronie wzmocnionej jeszcze na rok.

— Podatek górniczy od surowca został zniesiony.

— Wydział taryfowy ministeryum skarbu i zarządy dróg żelaznych zezwoliły na zniżoną opłatę ładunków, wysyłanych dla pogorzelców, jak budulec, wszelkiego rodzaju ubranie i produkty spożywcze.

Cło. Wydano rozporządzenie o pobieraniu cła od książek polskich i rosyjskich, przywożonych z zagranicy, do wysokości 4 rb. 50 kop. od puda.

Zapis. Muzeum przem. i rol. w Warszawie uzyskało zatwierdzenie zapisu im. Augusta Schürera, 4,000 rb., od których procenty mają być użyte na wydawanie corocznie zapomóg rzemieślnikom warszawskim, pochodzenia polskiego, chrześcianom umiejącym czytać i pisać po polsku.

Zjazdy. Pierwszy zjazd przemysłowy w Krakowie odbędzie się w d. 18—21 września r. b.

Szkoły. Do Instytutu inżenierów komunikacyj w Petersburgu nadesłano w r. b około tysiąca podań na ogólną ilość 165 miejsc na wszystkich kur- [illegible]

— Utworzona przy ministeryum dróg i komunikacyj specyalna komisya, zwróciła się do władz właściwych z projektem rozszerzenia praw osób, które otrzymały stopień techników kolejowych. W państwie istnieje obecnie około 40 szkół technicznych kolejowych, które corocznie opuszcza blizko tysiąc uczniów z prawem zdawania na stopień technika dróg i komunikacyj. Dotychczas stopień ten uprawniał do zajęć pomocniczych, nie pozwalając na samodzielne opracowywanie projektów.

— Ministeryum oświaty zamierza powołać komisyę do rozpatrzenia kwestyi bardziej prawidłowego profesyonalnego wykształcenia kobiet.

— Liczba studentów Żydów w uniwersytetach i wyższych zakładach naukowych technicznych ma być ograniczoną do 2%, uniwersytet zaś moskiewski będzie dla nich całkiem niedostępnym. (*S. Pet Wied.*).

— Skutkiem reformy szkół średnich wyznaczone w r. b. egzaminy dla uczniów kl. I i III z języka łacińskiego i greckiego zostały zniesione. Uczniowie innych klas podlegają prawom dotąd obowiązującym.

— Ponieważ brak nauczycieli dla szkół początkowych, ministeryum oświaty poleciło kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego otworzyć seminaryum nauczycielskie w Piotrkowie.

Konkurs. Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego zawiadamia, że termin nadsyłania prac na konkurs im. Hipolita Wawelberga, z zakresu „dziejów ludności żydowskiej w Polsce," przedłużony został do 1 stycznia 1902 r.

Rolnictwo. Z polecenia ministra spraw wewnętrznych obradować będzie w Petersburgu w m. b. komisya w sprawie opracowania projektu zniesienia służebności pastwiskowych oraz szachownicy gruntów włościańskich w gub. zachodnich. Do komisyi należą: wiceminister spraw wewnętrznych, gubernatorowie, marszałkowie szlachty i przedstawiciele różnych ministeryów.

Koleje i komunikacye. Sprawa budowy kolei z Ostrowca do Sandomierza weszła znowu pod obrady ministeryum. Ponieważ jednakże władze rosyjskie nie chcą zgodzić się na połączenie tej kolei z austryackimi mostem na Wiśle, jest projekt, ażeby podróżnych i towary przewozić promami paro- [illegible]

— Ponieważ inżenierowie, prowadzący studya nowych dróg żelaznych, niejednokrotnie rozpoczynają roboty bez porozumienia się z właścicielami gruntów, przyczem bez koniecznej potrzeby wyrębują parki, sady, lasy, niszczą zasiewy i budowle, ministeryum komunikacyj wydało rozporządzenie, aby na przyszłość rozpoczynali swe czynności po porozumieniu się z właścicielami, a w razie niemożności układów z nimi, odwoływali się po wskazówki do ministeryum komunikacyj.

— Zwrócono uwagę, ażeby służba kolejowa, jak maszyniści, konduktorzy, zwrotniczy i wogóle osoby czynne w ruchu pociągów, nie były przeciążane pracą i nie pełniły służby po za oznaczoną normą godzin obowiązujących.

— Długość linij kolejowych na całej kuli ziemskiej wynosiła w końcu 1899 r. 772,159 kilometrów, czyli o 19,687 klm. więcej, niż w roku poprzednim i o 465,557 więcej, niż przed 23 laty. Na Amerykę przypada 392,860 klm., na Europę 277,748, Azyę 57,822, Australię 23,615, Afrykę 20,114 klm. Po Stanach Zjednoczonych pierwsze miejsce w Europie przypada Niemcom, następnie Rosyi, Francyi, Austryi itd.

Zmarli. Ludomir Prószyński, w Warszawie. Studyował przeważnie dzieje Słowian południowych, które ogłosił przed kilkunastu laty w dziele p. t. „Bośnia i Hercegowina." Pozostawił 50,000 rubli, z których odsetki mają być wypłacane „spracowanym weteranom literatury i dziennikarstwa polskiego." Żył lat 67.

— Hons Forsell, prezes szwedzkiego kolegium i b. minister skarbu, w Sztokholmie. Człowiek niepospolitych zasług dla swego społeczeństwa.

— Paweł Alexis, w Paryżu, powieściopisarz i poeta francuski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu L. „Dobra gospodyni" rocznie 4 rb., Krakowskie Przedmieście 29.

SPROSTOWANIE. W ostatnim wierszu artykułu „Liter. pol." w nr. 31 zamiast „z powodu," powinno być „z powodzi."

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 1 Августа 1901 года.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.